Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 24 lipca 1938 r. Nr. 30

MYŚLĘ O TOBIE...



Niebo jest tak błękitne i tak pełne ciszy —
białych piór lecących chmur, ani wysokich wichrów nie słyszę —

Położyła się u moich stóp, zielona, zielona łąka —
pośród wysmukłych traw jasnym lśnieniem powiew się błąka.

Myślę o tobie, kochany — myślę o tobie — i o tym,
czy chciałbyś ze mną być tutaj — u morza zatoki złotej?

Bo nie wiem, czy lubisz łąki? nie wiem, czy lubisz morze?
Czy także chciałbyś się czasem w szmaragd traw z książką położyć?

Czy cię przejmuje niekiedy mocniej, niż gwar miast dużych —
cisza pod modrym niebem, cisza, co nigdy nie znuży?...

Jeśli umiesz niebo i zieleń w sercu swoim, jak ja ugościć —
przyjdź — zawrzemy układ jednakowej, mocnej miłości...

J. B.

MARIA REUTT

POD OBUCHEM POSĄDZENIA

3)

Gdy się ona urodziła, jako chrzestna matka stara hrabina się zaofiarowała, o przysyłanie dziecka do pałacu skamłała, swojej pannie uczyć czytać kazała i po śmierci spory zapis zostawiła. Trzysta złotych miesięcznie miał jej zarząd wypłacić do lat dwudziestu, a potem 10 tysięcy gotówką. Taka to już ich duma. Do matki nie przyznali się, ale o dziecko troszczyli się i pamiętali. Gdyby nie jej głupia zarozumiałość, nie opętanie wielkości i mała znajomość pychy hrabiowskiej, spędzić płód mogła i nikt by nic nie poznał. A tak, czekaniem doigrała się tego, że było już za późno. Jej własna głupota zabiła ją. Plenipotent i doktór i nadleśny suszyli do niej zęby, po rękach ukradkiem przed hrabiną całowali. Na pewno któryś z nich wziąłby ją, bo asystowali niedwuznacznie. A teraz musi się wstydzić przed siostrami i takiego męża i takiej kariery. Leśniczyna! A one takie partie porobiły. Jedna z nich za bogatego kupca wyszła, samochód swój mają, druga za budowniczego, a tylko ona jedna najładniejsza z nich, najlepiej wyedukowana, w lesie z chłopem żyć musi! — Użalała się nad sobą, dławiło ją w gardle z bezsilnej złości i żalu do losu.

— I jeszcze ta smarkula nosa zadziera i dyktuje, kogo mam zapraszać, a kogo nie.

— Julek ma dziś przyjść! — przypomniała sobie o wizycie adwokata. Łzy, które tak rzęsiście przed chwilą leciały jej z oczu, obeschły momentalnie. — Tego tylko jeszcze brakowało, żeby jej powieki nabrzękły.

Nalała do miednicy czystej wody, wpuściła w nią kilka kropel wody kolońskiej i zanurzyła twarz. Zręcznymi palcami delikatnym masażem przebiegła po twarzy, czole, powiekach, przypudrowała się.

Ciastka już się skończyły. Musi zrobić te kruche babeczki, udają jej się doskonale. Założyła fartuch i wyszła do kuchni.

. . . .

Natalka po wyjściu od matki popędziła w las, niby zwierzę zranione skryła się w gąszczu. Miała chaos w głowie i tumult w duszy. Nie mogła zebrać myśli, sprecyzować uczuć, które wrzały w jej sercu. Nad wszystkim górował ból dotkliwy, że leśniczy nie jest jej ojcem. Ten dobry, kochany tatuś — to obcy, a ten obcy, nieznany prawie hrabia, to właśnie jej ojciec. — Ojciec, który się do niej nie chciał przyznać, który jej się pozbył, sprzedał za pieniądze.

— A czy mógł się żenić z twoją matką — przyszło jej nagle pytanie na myśl.

— Nie — odpowiedział bez wahania rozum i ona przyznała mu rację. Porównała hrabinę z matką i nagle przestała mieć żal do prawdziwego ojca, że wolał jej się wyrzec niż ożenić się z taką kobietą jak jej matka. Przestała mieć żal do hrabiego, ale za to miłość i wdzięczność do leśniczego rozgorzała jeszcze silniej. Ten obcy człowiek był dla niej najtroskliwszym, najlepszym z ojców. Odkąd tylko sięgnąć mogła pamięcią widziała zawsze jego twarz dobrotliwą, zwróconą do niej z czułością. Nie robił różnicy między nią a swymi własnymi dziećmi. Jednakowo dbał o nie, jednakowo dogadzał.

Najlepiej jest tak jak się stało, że Pan Bóg nie kogo innego, a właśnie tatuśka przeznaczył jej na ojca. Jeżeli matka chciała ją tym zgnębić, to chybiła celu. Bolało ją to trochę, że jest właściwie bękartem, jak Józek Nastki, ale serce jej było zbyt przepełnione bólem tego, co widziała, zbyt było wstrząśnięte ohydnym obrazem, by mogło odczuć tę swoją hańbę bękarta, dziecka nieślubnego.

Nie odczuwała swego położenia. Była jak inne dzieci. Miała matkę, ojca. Cóż, że nie rodzonego, ale on dla swoich własnych dzieci nie był lepszy ani troskliwszy. Nie, to prawda niebolesna, ani nawet upokarzająca. Zapisana była na nazwisko Szołomickiego, a jak tam było z tym ojcostwem, co komu do tego. Że matka miała ją przed ślubem, że pozwoliła sobie na poufałości z hrabią, nie przeraziło ani zgorszyło jej tak, jakby było powinno.

Była dzieckiem swego wieku, wieku, gdzie rozluźnienie obyczajów, wolna miłość, to rzeczy nie tylko tolerowane, ale i pobłażane, gdzie słowo „narzeczona" jest synonimem kochanki, w wieku, w którym rozwiązłość uświęcona była nazwą „małżeństw koleżeńskich", związków na próbę, w którym słowo „kocham" wymówione czy to ustami mężczyzny, czy kobiety najczęściej oznacza „chodź do mnie" lub „czy mam się zaraz rozebrać", albo „gdzie i kiedy mam to uczynić", „a może w ubraniu"? Więc żyjąc w takiej atmosferze, choć z dala od niej, w atmosferze moralnego stępienia i etycznego schamienia, gdy szały zachwytu wywołują przeboje w rodzaju „Bo jestem taki zimny drań..." bezwiednie i ona zarażała się tą tolerancją i stępieniem wrażliwości na etykę moralną. Ale żeby matka, ta jej matka, która miała oprócz niej i bliźniaczki, i męża, żeby ta matka z każdym... Nie, to jedno było najokropniejsze!

Natalka miała już lat 16. Życie samo uświadomiło ją w dużo rzeczach, reszty dokonały koleżanki, służące, obserwacja, książki.

Żeby zabić pamięć tego wspomnienia, żeby wymazać je z mózgu i serca, płakała długo, łkała głośno, aż zabolały ją szczęki i oczy. Coś poruszyło się koło niej, przesunęło blisko.

— Może żmija — pomyślała.

Zerwała się z murawy ze strachem. Przywróciło ją to trochę do równowagi.

— Trzeba wracać do domu — pomyślała z tępym bólem.

Ruch uspokoił ją, osuszył oczy z łez. Trafiła do domu na obiad. Na podwórzu spotkała się z leśniczym. Wracał z pola. Wzięła go pod rękę i szła z nim. Zastanowiła go jej bladość i czerwone oczy.

— Mizernie mi wyglądasz dziecko, czy ci co dolega?

— Nic, tatusiu, miałam trochę przykrości od mamy, ot i wszystko.

— Nie masz się czym przejmować, Nastusiu. Głupstwo, od matki dziecko musi przyjąć każdą wymówkę z pokorą, a nie przejmować się tak, jak ty się przejmujesz.

Poczerwieniała.

— Kiedy to takie bolesne — szepnęła.

Nie podjął dalszej rozmowy na ten temat. Żona nazywała go chamem, wyśmiewała jego chłopską chatę i łapcie jego krewnych, a ten szlachcic zagonowy miał tyle wrodzonej delikatności i szlachetności, która przydałaby się niejednemu arystokracie.

* *

Widząc strapioną minę dziewczynki leśniczy zaraz po obiedzie zaproponował spacer do lasu.

— Idziemy tatuśku! — wołały bliźniaczki.

— No, a ty, Nastusiu? — zwrócił się do Natalki milczącej, zadumanej.

— Owszem, jeżeli tatuś i mnie zabierze.

Pogładził ją po głowie.



Pozdrowienie z słonecznej Kalifornii

— Źle ci będzie w życiu dziecko, jeżeli będziesz się tak mocno przejmowała każdą nieprzyjemnością lub przykrością.

Bliźniaczki na wyścigi rzuciły się do kuchni, gdzie matka kończyła piec ciastka.

— Mamusiu, idziemy z tatusiem do uroczyska. Daj nam na drogę chleba, sera, ciastek, tylko dużo ciastek — prosiły.

Przyniosły koszyczek i podstawiły go matce, która zapakowała w niego zapasy.

— Do widzenia, mamuśku!

Marysia wspięła się na palce, by dosięgnąć twarzy matki. Pocałowała ją w brodę, gdyż dalej nie mogła dosięgnąć. Józia poszła w jej ślady.

— Taka jesteś ładna, mamusiu — orzekły, przyglądając się z upodobaniem swej ślicznej ,zawsze ładnie ubranej mamusi.

— Ach wy pieszczochy — uśmiechnęła się łaskawie matka, rada z komplementu, całując je po kolei w czoło. One jej przynajmniej na razie nie przysparzają żadnego kłopotu ani zmartwienia.

— Wrócimy późno — wołały od drzwi.

Gdy szli polaną wśród dębów, Natalka przytuliła się nagle do leśniczego.

— Tatusiu, czy tatuś mnie lubi tak samo jak bliźniaczki — spytała, podnosząc na niego swe ciemnozielone, posmutniałe oczy.

Zdziwiło go to zapytanie, ale odpowiedział poważnie:

— Tak, dziecko.

— Nawet... chociażbym nie była twoją córką...

Ramię jego drgnęło.

— Czyż by jej kto wyśpiewał tajemnicę jej urodzenia — zaniepokoił się. Zatrzymał się, wziął jej twarz oburącz i zmusił by spojrzała mu w oczy.

— Jesteś moją kochaną, najstarszą córeczką. Kochałem cię już wówczas, kiedy bliźniątek jeszcze nie było i cieszyłem się obecnością twoją w domu. Gdy się urodziłaś, wyglądałaś jak maleńkie, śmiesznie brzydkie wronię. Płakałaś czegoś bardzo. Myślę, że po prostu było ci zimno, bo zima tego roku była bardzo mroźna i nie można było dostatecznie ogrzać mieszkania. Wziąłem cię na ręce. Ucichłaś od razu. Pocałowałem cię i o dziwo, poruszyłaś usteczkami i wyglądało to jakbyś pod moją pieszczotą uśmiechnęła się. Od tej chwili byłaś i jesteś moją ukochaną najstarszą córeczką i zostaniesz nią do mej śmierci.

— Och, tatusiu! — Cała gama uczucia i wdzięczności zabrzmiała w tym okrzyku dziewczynki. Odzyskała odrazu dobry humor i bawiła się i goniła po lesie z dziewczynkami, jakby była w ich wieku, tak jej było przyjemnie i lekko na sercu. Wrócili o zachodzie słońca. Dziewczynki niosły pełny koszyk jagód czarnych, leśniczy z Natalką szli z tyłu. Mówili o zwyczajach Poleszuków, o ich ubóstwie i szarości ich egzystencji.

Panią Romę zastali na werandzie w jasnej batystowej sukni kołyszącą się na bujaku. Obok niej w trzcinowym fotelu siedział adwokat.

Na widok gościa leśniczy zmarszczył niechętnie brwi i obojętnie przywitał go chłodnym, niedbałym podaniem ręki.

Natalce zasępiła się twarz — Nowy adorator — przemknęło jej przez myśl.

Gdy witała się z nim, spojrzała mu w oczy, badawczym, nieprzychylnym spojrzeniem, które groziło, ostrzegało.



Na chwilę przed mistrzowskim rzutem

Jaki nieprzyjemny wzrok ma ta pannica — powiedział sobie adwokat niechętnie. — Musi być z niej ziółko. — Zato bliźniaczki zachwyciły go szczerze.

Przekomarzał się z nimi, gonił je w ogrodzie i wycałował każdą, gdy je złapał.

— Co za śliczne dziewczynki z tych pana córeczek — powiedział do leśniczego, gdy zziajany, zadyszany wrócił z nimi na werandę.

Nie bawił długo, odszedł, odprowadzony przez pana leśniczego, panią Romę i bliźniaczki. Natalka została, by zająć się przygotowaniem do kolacji. Poszła do kuchni i krając tam pieczeń pozostałą z obiadu, słuchała rozmowy Chryści z żoną gajowego. Mówiły o Banasiuku Piotrze, który zalecał się do Chryści.

— Ty Chryścia nie bądź głupia i nie dopuszczaj go za blisko do siebie, bo on niepewny. Wiadomo kłusownik, niestały człowiek, a latowy, nigdzie miejsca nie zagrzeje, zwiedzie cię tylko i rzuci.

— Wszędzie tylko miłość i chłopcy — myślała ze skrzywieniem pogardliwym warg.

— A ot panienko, widziała ja tego młodego panicza z nadleśniczówki jak szedł on tutaj. Widno do panienki w swaty się zabiera. Ot niedługo pan leśniczy wiano będzie musiał gotować.

Zaczerwieniła się gwałtownie. Nigdy nie pomyślała, że mógłby to być do niej kawaler. Słyszała, że u chłopów odbywają się swaty bardzo prymitywnie. Ojciec chłopca pośle jakiego starego dziada, lub babę na zwiady do rodziców dziewczyny, a potem dopiero ślą z wódką, ale u nich w ich sferze rzecz ta zupełnie inaczej się odbywa, tu kawaler najpierw idzie na zwiady.

A może to prawda, że przyszedł ją zobaczyć. Gorące rumieńce wystąpiły jej na twarz i serduszko zaczęło bić mocno. A gdyby tak do niej...

Zaczęła marzyć. Budziła się w niej kobiecość. Może się omyliła, posądzając matkę. Opanowała ją skrucha i widziana scena kilka dni temu zamgliła się w jej mózgu.

Ale ból wrócił znów ze zdwojoną siłą zaraz na drugi dzień, gdy zobaczyła jak matka pieczołowicie odprasowywała sobie bladoróżowy szlafroczek i białą jedwabną suknię, jak do południa chodziła z wysmarowaną kremem „Simon" twarzą.

Nie dla niej on przychodził, a dla matki. Znała te symptomy, aż nadto dobrze, tylko dawniej nie zwracała na nie żadnej uwagi, nie rozumiała, co by one mogły znaczyć. Patrzyła na nie dawniej nierozumiejącymi i niewidzącymi oczami i obrazy te zapadały jej w komórki mózgowe, odbijały się w nich jak w aparacie fotograficznym, utrwalały i niby w teczce układały się jeden na drugi, aż do chwili, gdy myśl jej zaczęła pracować nad znaczeniem pewnych momentów. Wtedy niby w albumie przewracały się kartki jedna za drugą, ukazując coraz to inną fazę danych momentów.

Przypuszczenia jej znalazły wkrótce potwierdzenie. Idąc do Leśnego Dworu spotkała go na rozstajnych drogach. Szedł lek-



W poczuciu dobrze spełnianego obowiązku

ko, wesoło wymachując laseczką i pogwizdując. Ujrzawszy Natalkę, stropił się trochę. Widać było, że spotkania z nią nie zaliczał do przyjemności.

— Niedarmo mama wyprawiła bliźniaczki z Chryścią po jagody, a mnie kazała iść do hrabiny. — Jeżeli cię prosiła, byś przychodziła z nią grać, ze względu na ojca musisz to robić, gdyż nie można zrażać ani hrabiego ani hrabiny. — Zresztą powinno ci robić przyjemność przebywanie pod dachem rodzonego ojca — dodała z zjadliwym przekąsem.

— Nie uważam go za ojca i nigdy go nie będę uważać — powiedziała szorstko.

— Nie bój się i on ciebie również — odrzuciła.

— Fałszywa i zła — mówiła do siebie, gdy minął ją młody człowiek z niedbałym ukłonem. Stępiała już na tyle, że tylko grymas gryzącej ironii wykwitł na jej ustach.

— — — — — — — —

Hrabiego i hrabinę zastała przy oglądaniu krzaku róż, który zwiądł.

— Nie przyszła pani wczoraj — zrobiła jej lekką wymówkę hrabina.

— Chodziłam z tatusiem na uroczysko — odpowiedziała, usprawiedliwiając się.

— Czy pani bardzo kocha swego ojca? — zagadnął ją nagle hrabia.

Podniosła na niego wolno swoje zielone, mieniące się kilkoma odcieniami oczy, tak do jego oczu podobne, tylko większe, mocniej ocienione długimi, czarnymi rzęsami i patrząc na niego badawczo, odpowiedziała spokojnie, z namysłem.

— Kocham go najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie, kocham i szanuję.

Oświadczenie to ukłuło hrabiego w serce delikatnie, nieznacznie, a jednak ukłuło.

Nie dbał o nią, nie odczuwał dla niej żadnego serdeczniejszego uczucia, a jednak niemile dotknęła go odpowiedź dziewczynki, że ta jego bądź co bądź córka kochała takiego Szołomickiego.

* * *

Pani Roma nie była złą kobietą w ścisłym tego słowa znaczeniu, poza szalonym egoizmem i wybujałym erotyzmem, oraz brakiem zasad etycznych, czemu winno już było wychowanie i atmosfera domowa, miała na ogół dobre serce i rzadko kiedy odmawiała ludziom drobnych przysług. Była na ogół lubiana i przez ludność wiejską, chłopów, służbę i przez ludzi ze swej sfery. Miała w miasteczku i wśród oficjalistów dużo przyjaciół i nie tylko rodzaju męskiego, ale i żeńskiego. Mimo tych walorów była złą żoną, przez swój egoizm i niezbyt troskliwą matką. Dziećmi nie zajmowała się wcale. Bliźniaczki chowały niańki i ojciec, Natalkę wyhodował mąż ze starą hrabiną. Dbała o wygląd zewnętrzny dziewczynek, o ich włosy, sukienki. Stroiła je nawet zbytkownie, godzinami szczotkowała ich kędziorki i układała, ale nudziły ją i męczyły. Nie umiała odczuć odruchów ich dziecinnych duszyczek, drażniła ją ich żywość. Skwapliwie odwiozła Natalkę na pensję, a małe wysyłała z ojcem, gdy wyjeżdżał na objazdy w dalsze rejony. Po urodzeniu się Natalki nie chciała mieć dzieci, dłuższy czas jej się to udawało, aż zdarzyło się. Najgorsze to, że tym razem nie miała pewności, kto mógłby być ich ojcem, czy mąż, czy też który z praktykantów, których było tak dużo w majątku i coraz to nowi i z innych części Polski. Dość, że pewnego grudniowego poranku zjawiły się w dworku leśniczego dwie malutkie istotki. Matka była zrozpaczona taką Opatrznością Bożą, którą uważała za krzywdę. Była tak pozbawiona poczucia etyki moralnej, że to co zrobiła, w jej pojęciu było zupełnie naturalne, było jedynie następstwem zawodu życiowego, jaki ją spotkał, było nieuniknionym skutkiem tego. — Cóż miała robić, skazana na wegetowanie w głuszy leśnej w bagnach poleskich z nieokrzesanym prostakiem. Musiała sobie umilać życie. Gdy Natalka podrastała, musiała zajmować się dziewczynkami podczas wakacji, poza tym zostawiała i jej i dziewczynkom całkowitą swobodę, nie wtrącając się wcale do ich zabaw i wycieczek, pod warunkiem, że nie będą się kręcić koło domu, gdy ona przyjmowała wizyty młodych paniczów. Natura ludzka jest bardzo perwersyjna i dziewczynki, może właśnie dlatego, że tak mało się nimi zajmowała i tak rzadko z nimi przebywała, kochały ją bardzo, dumne były z niej i każdą sposobność pobytu w jej towarzystwie przyjmowały z nieopisaną radością. Nie było szczęśliwszych dzieci nad bliźniaczki, gdy zabierała je z sobą na wizytę, lub szła na spacer, albo brała udział w wycieczce na grzyby lub jagody. Natalka również do niedawna zamierała z rozkoszy, gdy matka przyciągnęła ją do siebie w nagłym przypływie czułości, lub gdy ofiarowała się pójść lub pojechać z nią gdziekolwiek, albo gdy przyjeżdżała do Warszawy i przychodziła po nią na pensję.

W lecie dzieci korzystały w całej rozciągłości z tej swobody, zjawiając się w domu tylko na posiłki.

I to ułatwiało Natalce możność unikania spotkania i rozmowy z matką na osobności. Rano wymykała się na spacer, gdy matka jeszcze leżała w łóżku, po południu, zaraz po obiedzie jeździła do pałacu. Często zabierała się z ojcem na cały dzień. Bliźniaczki wówczas zostawały w domu, gdyż nie lubiły dalekich wycieczek w las. Nużyła je jednostajność krajobrazu i pustka i cisza. Wolały wtedy biegać po lesie w pobliżu domu razem z dziećmi gajowego, który miał chatę o pół kilometra od leśniczówki. Było w zwyczaju dotychczas, że Natalka sama nosiła matce pierwsze śniadanie do łóżka, wypytując troskliwie jak się czuje, czy dobrze spała.

Od rozmowy z matką i policzka zadowalniała się przyszykowaniem śniadania na tacy. Posyłała zamiast siebie Manię lub Józię, a gdy te ulotniły się gdzieś, to pole-



Bulgaria wydała ostatnio serię znaczków, propagujących rolnictwo

cała czynić to Chryści, a sama wychodziła z domu.

Stan taki trwał do końca wakacji.

Adwokat bywał co drugi dzień w leśniczówce, ale że wyjechał wkrótce, więc nie spotkała go więcej ani na drodze ani w leśniczówce.

Kończyły się wakacje ku niezadowoleniu bliźniaczek, które tej jesieni miały zacząć się uczyć w pobliskiej wiejskiej szkole, a ku uciesze Natalki. Chciała być jak najdalej od matki, uspokoić się, przemyśleć o wszystkiem z dala od domu.

W wigilię wyjazdu poszła pożegnać się z hrabiną i państwem Szostakami. Nie chciała, żeby ją z pałacu odesłano końmi i szła wolno przez ukochany las, nie spiesząc się do domu. Rzeczy już miała spakowane, ojciec pojechał do tartaku i miał wrócić późno. Odwoziła ją matka, która jesienią jeździła co roku do Warszawy odmłodzić się i zaopatrzyć w stroje na zimę.

Przykrą jej była myśl podróży z matką, ale pocieszała się, że matka nie lubiła jeździć w damskich przedziałach, a wybierała wagony najbardziej zapełnione, a powtóre, podróż do Warszawy odbywała zawsze w nocy, więc mogła udawać, że śpi, gdyby matce nagle przyszła ochota na rozmowę.

W domu czekała ją niespodzianka. Przyjechał plenipotent z żoną, jej chrzestny ojciec. Nie bardzo on dbał o nią, ani się nią zajmował, szczególniej gdy się ożenił i gdy umarła hrabina, ale widocznie posłyszał już o jej wizytach w pałacu i o przyjaźni z hrabiną, przypomniał sobie o istnieniu chrzestnicy.

Przywitał ją wymówkami:

— Niedobra dziewczyna. Zapomniała o chrzestnym ojcu. Ani razu w ciągu całego lata nie przyjechała go odwiedzić.

Pani domu była bardzo ujęta tą wizytą dumnej pani Borzęckiej, spokrewnionej podobno z hrabiną i wobec tego łaskawie spoglądała na córkę.

Leśniczy wrócił wcześniej niż go się spodziewano. Usiadł nieśmiało na szarym końcu. I jego onieśmieliła wizyta plenipotenta, który dla niego więcej znaczył niż sam hrabia, jako jego bezpośredni zwierzchnik, mogący go każdej chwili pozbawić pracy i chleba.

— Józiu — zwrócił się do jednej z bliźniaczek — nalej mi herbaty.

Poderwała się z miejsca Natalka, ale leśniczy przytrzymał ją za rękę.

— Siadaj, Nastusiu, niech mi i Józia przynajmniej raz usłuży.

Natalka przycisnęła usta do spracowanej dłoni ojca, jakby tą pieszczotą chciała zadokumentować przed matką, że jej wyznanie sprzed paru dni nie poderwało nic, a nic, jej miłości do przybranego ojca.

Pani Roma zmarszczyła gniewnie brwi i pogardliwie wykrzywiła usta, tak raziła ją pieszczota tej jej wytwornej córki, tej latorośli hrabiowskiej, dana temu prostakowi.

Pani Roma promieniowała. Flirt z adwokatem zapowiadał się obiecująco, no i ta wizyta dumnego, wyniosłego plenipotenta i tej „gęsi" nadętej, jak panią Borzęcką nazywała w myśl, nieoczekiwanie usposobiła ją łaskawie do córki.

Po wyjeździe gości rozmawiała uprzejmie z mężem, nawet przesunęła ręką po jego siwiejącej przedwcześnie czuprynie, a gdy dzieci odchodziły do swoich pokoików spać, przyciągnęła Natalkę do siebie i pocałowała w czoło.

Jeszcze tydzień temu pieszczota matki rozczuliłaby ją, wprawiła w stan szczęśliwości, dziś z trudem stłumiła odrazę i jedynie na zimny pocałunek ręki mogła się zdobyć.

Wyjechały równo ze świtem. Natalka całowała długo ojca i tuliła się do niego, jakgdyby go nigdy zobaczyć nie miała. Było w tym pożegnaniu i podziękowanie za jego dobroć i troskliwość o nią, było i wielkie przywiązanie.

— No dosyć, dosyć tych czułości — zawołała ostro pani Roma na córkę. — Nie wyjeżdżasz na koniec świata!

Czuła urazę do córki za jej odsunięcie się od niej, za ten nieuchwytny ton odrazy jaki przewijał się w ich obcowaniu ze sobą, w zachowaniu się Natalki do niej, a nawet w rozmowie.

Czułości do ojca nazywała komedią, mającą na celu dokuczenie i upokorzenie jej.

Dziewczynki odwoziły je na stację. Jechały wozem, wysłanym sianem, przykrytym kilimem wyrobu swojskiego. Wóz trząsł niemiłosiernie, podrzucając na korzeniach i wybojach, lub zapadając w błoto na groblach, usypanych na mokradłach. Pani Roma kręciła się na siedzeniu, poprawiała ustawicznie, wzdychała, stękała, marzeniem jej obecnego życia było posiadanie dobrej bryczki na resorach, którego urzeczywistnić nie mogła. Na bryczkę nie chciał się zgodzić leśniczy. Powóz miał tylko hrabia i plenipotent, bryczki używał nadleśniczy, dyrektor tartaku i rządca. Leśniczowie i ekonomowie jeździli wozami.

— Jak ja bym wyglądał, gdybym sobie zrobił na własny koszt bryczkę. Wylaliby mnie zaraz od pierwszego. Hierarchia musi być zachowana.

Sprzeczała się z mężem, płakała, tygodniami nie rozmawiała ,a mimo to bryczki na leśniczym nie wymogła.

— Poczekaj — obiecywał żonie — jak wysłużę prawo do emerytury, zamieszkamy w miasteczku, albo na moim kawałku, dokupiwszy trochę więcej ziemi, to wtedy zafunduję ci solidną, elegancką bryczkę. A teraz, póki jesteś leśniczyną musi ci wystarczyć półkoszek, przecież i Szustakowie i Lewiccy i Sulakowie i Mendykowie wszyscy jeżdżą wozem i nie narzekają.

— Boże, za coś mnie tak pokarał — szeptała nieraz pani Roma przez zaciśnięte zęby. Jechała tedy w ponurym milczeniu, sykając i wzdychając, odęta, nastroszona, zła. Bliźniaczki nie przejmowały się złym humorem matki. Szczebiotały całą drogę, zarzucając pytaniami furmany i Natalkę.

Matka nie pozwoliła im wejść na peron, bo bała się, by nie dostały się pod koła wagonu. Pocałowała je i kazała z pod stacji bez zatrzymania wracać do domu.

— Odpocznięcie w lesie.

Dziewczynki bez szemrania przyjęły rozkaz matki, oglądały się tylko żałośnie na budynek stacyjny, dopóki nie znikł im z oczu.

Na szczęście dla Natalki wagony były przepełnione młodzieżą, wracającą do szkół. Pierwszy postój w Pińsku opróżnił parę miejsc. Dalej Kobryń, Drohiczyn, Brześć, tak, że już za Brześciem Natalka mogła położyć się na ławce i udawać, że śpi. Młodość ma swoje prawa i już koło Siedlec dziewczynka spała mocno, ukołysana rytmicznymi ruchami wagonu.

* * *

Natalka w samą wigilię przyjechała do domu na święta Bożego Narodzenia. Otrzymała od plenipotenta pięćdziesiąt złotych, by sobie kupiła jakiś prezent, wiozła więc prezenty dla całego domu. Dla matki dwie jedwabne chusteczki. Dla ojca rękawiczki i ładną srebrną cygarniczkę, a dziewczynkom kuchenkę i serwis do herbaty. W wielkim sekrecie przed domownikami podłożyła prezenty swoje pod choinkę, którą według zwyczaju ubierał ojciec w swej kancelarii i zapalał po wigilii.

Wzruszył się ojciec tymi podarunkami swej przybranej córki ,która wszystkie darowane jej przez chrzestnego ojca pieniądze zużyła na prezenty, bo nawet Chryścia otrzymała jedwabne pończochy i paciorki na szyję.

Dziwiłby się kto, że Natalka tej wiejskiej dziewczynie dała tak nieodpowiednie prezenty. I Polesie się cywilizuje, a jakże i



Mussolini wziął udział w pierwszych żniwach na osuszonych bagnach pontyjskich, pracując jako żniwiarz i bawiąc się wesoło.

ta cywilizacja zaczyna się u chłopców od kapelusza, u dziewcząt od jedwabnych pończoch. Śpią w domach na barłogach, na wyrkach, na ławach bez poduszek, prześcieradeł, kołder, czesząc się rzadko, kąpiąc tylko w dzieciństwie, ale jedwabne pończochy są marzeniem każdej dziewczyny. Polesie Zahorodzkie, czyli od Pińska do Brześcia, to zwykłe ziemie kresowe mniej lub więcej zamożne, lepiej lub gorzej zabudowane wsie, a w chatach i kwiatki, i łóżka, czasami nawet szafki, ale Polesie Zarzeczne od Pińska do granicy rosyjskiej to rzeki rozlewne, lasy nieprzebyte, bagna, moczary, to kurne chaty, to nędzne wsie, a w nich brud, smród i robactwo i bieda, ale dziewczyna wywędrowawszy do miasta za pierwsze zarobione pieniądze kupuje sobie kapelusz i jedwabne pończochy, jak każda inna dziewczyna z b. Kongresówki lub Małopolski. Więc i Chryścia, jako że służyła u leśniczyny, oderwała się od wsi i marzyła o jedwabnych pończochach, i całowała Natalkę dużo razy po rękach w uniesieniu wdzięczności. Będzie miała czym pochwalić się koleżankom ze wsi.

— — — — — —

Piękny adwokat dotrzymał przyrzeczenia i zjawił się w okresie Świąt w nadleśnictwie i zaraz na drugi dzień stawił się piechotą u pani Romy.

Dziewczynki pojechały z ojcem sankami na spacer. Byli więc sami.

Adwokat ukląkł przy fotelu i tuląc swą głowę do kolan pani Romy, mówił jej o swojej miłości do niej, o tęsknocie. Całowała go po oczach, wodziła ustami po jego twarzy, szeptała ponętne obietnice.

Te słodkie sam na sam przerwał im pan Klemens, który przyszedł niby w interesie do leśniczego. Od lata nie widziała pani Romy. Gdy była Natalka nie śmiał zachodzić, później pani Roma bawiła dłuższy czas w Warszawie, prawie sześć tygodni, to znów on jeździł do domu dla załatwienia działów rodzinnych i na wesele siostry. Nie mogła pani Roma odprawić z niczym swego poprzedniego kochanka, nie chciała, by się domyślił co ją łączyło z pięknym panem Wereniczem.

Z czarującym uśmiechem wyszła mu na spotkanie do sieni.

— A jednak pan przypomniał sobie o nas.

Poczęstowała go winem i bakaliami.

— Gdzie ja miałam oczy — myślała, przyglądając mu się i porównując z Juliuszem. Pan Klemens kręcił się na krześle, spoglądając nieprzyjaźnie na adwokata, a podejrzliwie na panią Romę. — Drań — mówił sobie w duszy — łajdaczy się na pewno z tym drabem. — Bez tego na pewno, ani rusz, czego by on tu przylatywał z Winogrodu.

— Pan przyjechał, czy przyszedł z Krzywicz — zapytał Juliusza, który z nudzoną miną palił papierosa, nie wtrącając się do rozmowy.

— Piechotą — odparł krótko i nieprzyjaźnie.

— Nie boi się pan, obcy w tych stronach, taki kawał „hakać" przez las? — zdziwił się szczerze praktykant.

— Czego mam się bać, idę drogą cały czas. Dla bezpieczeństwa jednak zawsze noszę przy sobie, czy w zimie, czy w lecie rewolwer odbezpieczony w kieszeni palta.

. . . .

Gdy Natalka zobaczyła ich w kręgu lampy, zamrugała oczami, nie wierząc sobie. A panowie witali się już z leśniczym.

— Ja do pana — oznajmił pan Klemens. — Pojutrze hrabia przyjeżdża z gośćmi na zające, więc pan Szustak prosił, żeby pan przygotował naganke i był z nimi na polowaniu, by przypilnować stanowisk.

Adwokat tymczasem obserwował Natalkę, stojącą pod piecem. Co za pańska uroda u tej dziewczyny — dziwił się — skąd wzięła się ta wytworna sylwetka na tle skromnej leśniczówki?

Praktykant, pomówiwszy jeszcze chwilę o polowaniu, zabierał się do odejścia.

— Zostań pan z nami na kolacji. Któż to słyszał, żeby gościa puszczać w zimie na głodno. Nikt pana w domu nie czeka. Co? — mruknął filuternie leśniczy.

Certował się trochę praktykant dla formy, ale kiedy pani Roma dodała:

— Panie Klemensie, bo się obrażę — usiadł z powrotem na swoje miejsce.

. . . .

Przy kolacji, po opróżnieniu butelki wiśniówki i pół butelki śliwicy, zapanował wesoły nastrój.

Śpiewano chórem kolendy, kuplety, ostatnie przeboje sezonu przy akompaniamencie fortepianu. Grała sama pani domu, strojąc rozkosznie zalotne miny do obu panów. Bliźniaczki bawiły się na równi ze starszymi, wturując im śmiechem, choć nie bardzo rozumiejąc znaczenie „powiedzonek".

Nawet Natalka rozruszała się i przy pomocy grzebienia, noża, szklanki i łyżki drewnianej stworzyła „jazzband": Józia uderzała nożem w szklankę, Natalka łyżeczką w blaszany kubek, pan Klemens bębnił drewnianą łyżką po stole, adwokat grał na grzebieniu, a pani Roma na fortepianie, nawet leśniczy nadąwszy policzki udawał basetlę.

Rozeszli się wszyscy po północy w najlepszej zgodzie i harmonii.

Nikt nie spodziewał się, że po tak wesoło spędzonym dniu nastąpi burza, nic nie zapowiadało jej.

. . . .

Jak się tylko rozwidniło leśniczy wyjechał do wsi, aby zebrać ludzi i zamówić nagankę na jutrzejsze polowanie. Zajęło mu to nie tylko ranek, ale cały dzień.

Natalka z dziewczynkami była na ślizgawce i wróciła prawie jednocześnie z nim. Nie zdejmując walonek z nóg, które tłumiły kroki, podszedł wprost z sieni do żony, by jej powiedzieć o zaproszeniu na niedzielę do państwa Sulaków.

Uchylił drzwi pokoju żony i cofnął się blady jak kreda. W zmierzchu zapadającego wieczoru ujrzał żonę siedzącą na kolanach Juliusza i oddającą mu pocałunki. Trzasnął drzwiami i skierował się przez jadalnię do kancelarii. Zerwała się z kolan Juliusza, zerwał się i on z krzesła.

— Kto to był — zapytał zaskoczony.

— Nie wiem, prawdopodobnie mój mąż — odpowiedziała, gryząc wargi ze zdenerwowania i doprowadzając swoją toaletę do porządku nerwowymi ruchami rąk.

— Czyżby już wrócił? — przeraził się.

— Nie wiem — odpowiedziała opryskliwie. — Dzieci nigdy nie wchodzą do mnie, gdy w stołowym pokoju jest ciemno.

Juliusz nerwowo przesunął ręką po głowie.

— To może pójdę sobie lepiej — zauważył nieśmiało.

— Idź... on czasem bywa nieprzyjemny.

Dygocącymi z pospiechu rękami wkładał Juliusz palto i czapkę. Odetchnął swobodnie dopiero, gdy znalazł się na drodze. Bał się nie odpowiedzialności, ale złapania w potrzask jak królika lub zająca.

— Zażąda satysfakcji, udzielę mu, ale być obity na gorąco... brrr...

Leśniczy, wróciwszy do swego pokoju, usiadł ciężko na łóżku i dyszał z trudnością.

— Zawsze ta sama... nic więcej... — myślał, skręcając się w sobie z tępego bólu. Słyszał szepty, skrzyp drzwi do sieni, lekkie skradające się kroki, mocowanie się z zasuwką wejściowych drzwi, ale się nie ruszył, dopiero gdy służąca przyszła z podwórza z wiadrami wody, krzyknął na nią, wychyliwszy głowę do sieni, by mu lampkę przyniosła do kancelarii. Gdy światło rozproszyło mrok pokoju, wstał i wolno, krokiem ciężkim poszedł do żony. Nie zauważył nawet Natalki, która przy kredensie krajała chleb dla dziewczynek.

Nagle w ciszy wieczoru Natalka usłyszała zdyszony gniew, groźny głos ojca.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

ROBERT GOFFIN 3)

KAROLINA
CESARZOWA MEKSYKU

EPOPEJA HABSBURGÓW

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA
IRENA MACIEJEWSKA

Oto wreszcie Ratyzbona na brzegu Dunaju: miasto świątyń o ciasnych, jednostajnych uliczkach. Tutaj w roku 1809 (Maksymilian drży jeszcze opowiadając o tym) armia austriacka została doszczętnie pobita przez Francuzów. Napoleon wszedł jako zwycięzca do miasta i oznajmił w słynnej proklamacji do żołnierzy, iż przed upływem miesiąca Linz już niedaleko! Serce drży we wzruszeniu i trwodze! W Linzu oczekuje na swe dzieci, którym będzie towarzyszyć do Wiednia, arcyksiężna Zofia, matka Maksymiliana.

Młodzi małżonkowie wchodzą w krainę etykiety, protokółu i konwenansów. Odtąd nie będą już sobą w obecności innych. Maksymilian wyjaśnia swej żonie w krótkich słowach tysiącletni ceremoniał dworu austriackiego. Karolina słucha uważnie, patrząc z miłością na ukochanego męża. Zachodzące słońce rzuca purpurowe blaski na drżące fale Dunaju; nad statkiem przelatują stada ptaków. Dłonie małżonków łączą się po raz ostatni w swobodnym uścisku kochanków, których nikt nie zna i znać nie powinien.

Ósmego sierpnia przyjazd do Wiednia. Orkiestry grają na brzegu skoczne marsze i podczas gdy statek zwolna przybija, Karolina zmrużonymi oczami wpatruje się w odblaski słońca na mosiężnych trąbach. Girlandy kwiatów wiją się wzdłuż chodników. Naród wydaje okrzyki radości — młodzież szkolna ustawiona na trasie przejazdu pary arcyksiążęcej, macha wesoło chorągiewkami. Narodowe flagi ozdabiają balkony. Rozradowane tłumy wiedeńczyków rzucają kwiaty, Karolina kłania się

Stolica Austrii pachnie latem! Maksymilian wskazuje żonie widniejący w dali Kahlenberg uwieńczony świerkami, tłumacząc, iż Turcy w czasie swej inwazji na Europę w r. 1683 podeszli aż do tego kościoła, wyłaniającego się z zielonej gęstwiny. Wszystko zdawało się już stracone do chwili, gdy nadciągnął Jan Sobieski w dniu 5 września. Armia chrześcijańska pod wodzą czterech królów i 26 książąt, liczyła 75.000 ludzi. Dwunastego września Kara Mustafa został pobity i dzikie hordy zmuszone były cofnąć się w rozsypce na Węgry.

„Działo się to w dniu podobnym do dzisiejszego; takie samo słońce świeciło nad miastem, takim samym błękitem lśnił Dunaj. Dzięki temu zwycięstwu jesteś dziś arcyksięciem, a ty, droga Karolino, arcyksiężną; dzięki temu ludność Wiednia może się dziś radować i śpiewać tak głośno, aż się płoszą białe konie, ciągnące nasz powóz galowy poprzez ulice Nussdorfu".

Karolina jest szczęśliwa i dumna. Jakże trudno w to uwierzyć, iż mając siedemnaście lat jest już arcyksiężną Habsburg, wybraną przez tego pięknego księcia o jasnych włosach, którego naród tak radośnie wita, że jest jego żoną na całe życie, że w to pełne upojenia popołudnie sierpniowe jedzie u jego boku cesarską karocą ku tronowi, na którym zasiadali najwięksi w historii władcy, że jest powołaną, by pełnić przy nim wielkie posłannictwo królewskie, powierzone przez Boga tylko kilku wybranym śmiertelnikom.

Więc tak wygląda to słynne miasto, o którym Karolina tyle razy marzyła i śniła!

Wzdłuż brzegów Dunaju ryczą syreny fabryczne; w dali widnieje olbrzymi las wiedeński, a jeszcze dalej rezydencja królewska, pałac Laxenburski. Oto wysoki mur dookoła oszańcowanych fortyfikacji, oddzielonych fosami i mającym być wkrótce zniesionym stokiem. Oto jedna ze słynnych dwunastu bram, które ostatnio burzy się... Bogate sklepy ciągną się wzdłuż ulic. A tam dalej Prater z wspaniałym parkiem, gdzie będzie tak przyjemnie jeździć konno, przyjmując ukłony arystokracji wiedeńskiej. Karolina, oszołomiona obrazami, które jej nasuwa rozegzaltowana wyobraźnia, traci przez krótką chwilę poczucie rzeczywistości wśród sztandarów, kwiatów i głośnych okrzyków. A to Graben ze słynną kolumną Trójcy Świętej, dalej Kohlmarkt i piękne pałace przy ulicy Karyntii; gotycka katedra Św. Stefana, kościół Augustynów, wieża św. Karola Boromeusza, kościół Kapucynów, w kryptach którego śpią snem wiecznym wszyscy królowie i arcyksiążęta dynastii Habsburgów.

Arcyksiężna Karolina, wzruszona, blada ze szczęścia, nie widzi nawet pozdrowień, przesyłanych jej przez wiedeńczyków, pragnących ujrzeć belgijską księżniczkę.

Wkrótce wyłania się imponujący Hofburg, a po drugiej stronie muzeum Belwederskie, gdzie młoda królowa będzie mogła podziwiać brabanckie pejsaże poczciwego Breughela; gdzie z głębi obrazów Vn Ewcka i Hugona Van der Goes wyjrzą ku niej krajobrazy Flandrii, przypominając opuszczoną ojczyznę, gdzie wspaniałe kompozycje Rubensa i Van Dycka wskrzeszą w jej sercu wspomnienia minionego dzieciństwa.

Karoce, opuściwszy przedmieścia, toczą się coraz szybciej w stronę Schoenbrunnu. Wreszcie skręcają na lewo i nagle ukazuje się pałac cesarski ze wspaniałymi ogrodami, tarasami, piękną Gloriettą, i olbrzymim dziedzińcem, na którym oczekują parę królewską wyprężone na baczność oddziały honorowe.

Wielkość Koburgów i Orleanów! Majestat Habsburgów, usymbolizowany w monumentalnym gmachu, wzniesionym przez Józefa I-go i Marię Teresę. Serce małej księżniczki Karoliny, córki króla belgijskiego bije gwałtownie; rozkoszny dreszcz przenika całą jej istotę na myśl o tym, iż zostanie przyjęta w tym dostojnym pałacu, gdzie przebywał w 1801 r. arcyksiążę Karol, gdzie w 1802 r. zamieszkiwała Maria Karolina księżna Neapolu i gdzie, zaledwie pół wieku temu, zakwaterowany był sztab główny Napoleona I-go.

Maksymilian wskazuje zachwyconej małżonce stajnie, ogród botaniczny i menażerię. Brama wjazdowa jest szeroko otwarta, wyprężeni żołnierze prezentują broń, dźwięk trąb ogłasza szczęśliwe przybycie młodej pary, w oddali drzewa parku stoją nieruchomo w ciszy sierpniowego popołudnia.

Nadeszła godzina nużących, lecz jakże doniosłych ceremonii. Karolina ma zaledwie czas rzucić okiem na malowidła plafonowe. Już wchodzi z mężem po szerokich stopniach schodów do dużej sali, której okna wychodzą na główny dziedziniec pałacowy. W kącie olbrzymi piec z białych kafli fajansowych; złocone meble, kanapy kryte purpurowym pluszem; na ścianach, z ciemnych ram portretów uśmiechają się arcyksiężniczki, które podobnie jak Karolina przeszły przez pałac Schoenbrunnski i jak ona śniły o wielkości i przepychu.

Na widok Elżbiety, najpiękniejszej królowej i cesarzowej, tej co podbiła tyle serc swą urodą, głębokie wzruszenie ogarnia Karolinę, Elżbieta jest miła i szczera w swej ujmującej serdeczności; cesarz Franciszek Józef, nieco niższy od swej małżonki, z bokobrodami, których się nie pozbędzie przez przeszło pół wieku swego panowania, o roztargnionym spojrzeniu, wydatnej wardze i charak-

terystycznej szczęce, jest czarujący, uprzejmy, lecz pełen rezerwy.

Godzina krótkiej rozmowy, banalnych frazesów pierwszego spotkania. Karolina, pełna młodzieńczego wdzięku i urody zrobiła bardzo dobre wrażenie na swych dostojnych krewnych. Jej skromność i prostota chwyta za serce. Cesarz prezentuje galerię swych przodków, czytając imiona: to jest mój pradziad, to arcyksiążę taki a taki, zmarły w młodości...

Potem Karolina zwiedza pałac, przechodząc z jednej sali do drugiej. Oto biurko cesarza w pobliżu okna, przy którym Franciszek Józef rozważa co dzień od godziny piątej rano, najważniejsze sprawy państwa. Dalej pokoje sypialne z historycznymi umywalkami. Sale ciągną się długim szeregiem, wszędzie meble kryte czerwonym lub zielonym aksamitem, boazerie, obicia, obrazy, gobeliny; po drugiej stronie pałacu pokój rokoko, inkrustowany złotem, wykonany według własnoręcznego rysunku cesarzowej Elżbiety, dalej jakiś smutny, opuszczony pokój. W prawym kącie zwykłe żelazne łóżko, u okien stare firanki. Tu zakończył życie w lipcu 1832 r. Napoleon II, książę Reichstadtu. Napoleon II, ten, który miał zasiąść na tronie belgijskim zamiast jej ojca; ten, którego łączyła tak zażyła przyjaźń z matką Maksymiliana, iż niektórzy są skłonni doszukiwać się w uśmiechu arcyksięcia śladów smętnej melancholii, charakteryzującej zmarłego dziedzica Napoleona I. Wielkość i nicość dynastii! Przed ubogim łóżkiem księcia Reichstadtu w sercu Karoliny budzą się sprzeczne uczucia potęgi i upadku, pożądania władzy i lęku przed nią.

Przez kilka chwil Karolina myśli o przyszłości, o wicekrólestwie włoskim, które Franciszek Józef przeznaczył dla swego brata Maksymiliana. Za parę dni będzie więc królową tego uroczego kraju, gdzie rosną pomarańcze i palmy; kraju o upojnie pachnących kwiatach, o muzeach wypełnionych najwspanialszymi dziełami sztuki; o kościołach piękniejszych niż marzenie; o przecudnych miastach, gdzie po ulicach spacerują dożowie, szambelanowie i piękni oficerowie w szamerowanych mundurach. Karolina śle gorące dziękczynienia do stóp Boga, za to, iż ją właśnie wybrał spośród tylu księżniczek, zesłał jej tak wiele szczęścia, obdarzył ubóstwianym mężem i uczynił ją członkiem historycznej rodziny Habsburgów.

— — — — — — — — — —

W pałacu Schoenbrunnskim wisi wielki portret rodziny Habsburgów; w głębi, na tle kolumnady, stoi olbrzymie drzewo, ocieniające wszystkich zebranych, trochę dalej pnie się zielone listowie. Na pierwszym planie siedzi na ziemi, bawiąc się z psem, arcyksiężniczka Gizela, za nią, w białym marynarskim ubraniu i szerokim kapeluszu, czteroletni Rudolf, którego trzyma za ramię, siedząca w fotelu babka, arcyksiężna Zofia; w pobliżu, oparty marzycielsko o pień drzewa, arcyksiążę Ludwik-Wiktor, obok niego Franciszek-Józef w mundurze generała; na drugim planie, patrząc w otwartą na stoliku książkę, cesarzowa Elżbieta, przy niej stary arcyksiążę Franciszek-Karol. Za tą grupą, stoją wśród listowia, z rozmarzeniem w oczach dwie pary: arcyksiążę Ludwik ze swą małżonką Małgorzatą oraz arcyksiążę Maksymilian obok Karoliny.

Portret rodziny, symbolizujący skupienie wszystkich członków domu panującego wokół autorytetu cesarskiego, wyobraża ścisłe współżycie tych wybrańców losu, nie należących do grona zwykłych śmiertelników, a otoczonych egzaltowanymi rojeniami i smętnymi westchnieniami szarych ludzi, z zazdrością marzących o ich szczęściu.

Wystarczy jednak kolejno rozpatrzeć dzieje życia każdego z tych wybrańców, iść krok w krok za ich losem, by zadrżeć ze zgrozy wobec niebywałego podobnego ogromu cierpień i nieszczęść, wobec ludzkiego dramatu, który swą treścią przeszedł najśmielszą wyobraźnię.

IV.

Lombardia i Wenecja, przyznane Austrii przez Napoleona I-go, uginały się pod jarzmem administracji i militaryzmu cesarza Franciszka-Józefa. Ustawiczny ucisk, podejrzenia, aresztowania, wyroki śmierci i egzekucje burzyły i jątrzyły naród włoski. W miastach wybuchały wciąż zamieszki; krwawe utarczki podniecały pragnienie niepodległości, lub raczej ponownego włączenia oderwanych prowincji do państwa włoskiego.

W roku 1856, na Kongresie Paryskim, Cavour przedstawił niebywałe posunięcia administracji wiedeńskiej, międzynarodowa opinia została poruszona do głębi tymi nadmiernymi represjami i Franciszek-Józef zdał sobie sprawę z tego, iż nie będzie mógł nadal stosować swej krańcowo surowej polityki.

Dla podkreślenia nowych tendencji dworu austriackiego i dla czuwania nad ich realizacją został wyznaczony arcyksiążę Maksymilian. Nie tracąc więc drogocennego czasu, arcyksiążę wraz z małżonką opuszczają pałac Schoenbrunnski i cieniste aleje jego pięknego parku, by udać się do Włoch. Dziesiątego sierpnia przybywają do Triestu, twierdzy Illirii i spędzają cały tydzień w tym wielkim porcie adriatyckim, będącym oknem cesarstwa austriackiego na morze i na świat.

Karolina odbywa powozem długie spacery wzdłuż korsa, oddzielającego nowe miasto od starych dzielnic. Z zaciekawieniem przygląda się fali międzynarodowej ludności: arystokracja żydowska, illyryjska, grecka, lewantyńska, arabska, syryjska, angielska. Barwny, ożywiony tłum bawi ją i niezmiernie interesuje. Niezwykłe miasto o licznych kościołach, zgiełkliwych dokach, magazynach wonnych olejków z kwiatów wyspy, marmurowej fasadzie potężnego Lloydu Austriackiego! Stare miasto, o krętych brudnych uliczkach, uczepione wzgórza, na szczycie którego zawisł zamek! Nowe dzielnice, przecięte wielkim kanałem, z Czerwonym Mostem u wylotu!

W ciągu kilku dni okropny wiatr południowo-zachodni, sirocco, uniemożliwia wszelkie spacery.

16 sierpnia przyjazd do Wenecji i tu małżonkowie po raz pierwszy kosztują rozkoszy panowania. Wicekrólewski tytuł upaja, stwarza złudę potęgi, miraże chwały, przesłania świadomość tego, iż jest się tylko administracyjnym urzędnikiem przebiegłego, lecz jakże krótkowzrocznego brata. Manifestacje publiczności, zorganizowane przez Wiedeń, przy pomocy płatnej klaki, cieszą jednak Maksymiliana i Karolinę.

Młody wicekról, oszołomiony władzą, nie zdaje sobie na razie sprawy z tego, iż sztandary dekorujące miasto i huczne wiwaty są tylko wykonaniem wyższego rozkazu. W rzeczywistości arystokracja odwraca się od nowoprzybyłych, a mieszczanie nie okazują zbyt wiele uczuć wiernopoddańczych, jakkolwiek para arcyksiążęca osobistymi zaletami zdobywa sympatię a nawet po trochu i przywiązanie ludności.

Małżonkowie, pełni zachwytu i uniesienia, zwiedzają miasto. Czarująca Wenecja, rozpostarta na 24 wysepkach, połączona 450 mostami, opięknych kościołach, przecudnych mozaikach, odwiecznych gondolach, gołębiach na placu św. Marka, z dźwiękiem gitar o zmroku, robi na Karolinie głębokie wrażenie.

Maksymilian zapomina o przykrych stronach swego posłannictwa i cieszy się pięknem życia. Karolina pisze:

„Jestem oczarowana zachwycającą i poetyczną Wenecją, w której nie ma nic przyziemnego; jak-

Ciąg dalszy na str. 593.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

WAKACJE

...W dali śni bór ogromny, tęskliwie surmowy,
...Bór prześpiewny, odwieczny, zielono — tajemny.
...Bór ukojny i rośny, dziwny bór bukowy,
Głębinnie czarodziejski w przepastności ciemnej.

...W dali śni dwór schowany w gęstych winogradach,
Zrumieniony w zachodu krwawiącej pożodze...
...Ul rojny i szmerliwy w szmaragdowych sadach,
Łagodny brytan „Rozbój" z łańcuchem na nodze...

A w dworze są portrety w srebrze ram spłakane
...Jest fortepian — bezzębny, schrypły, dziaduś drogi...
W serwantce: koronkowo zwiewne filigrany
Na spełzłych ścianach dumne, jeleniowe rogi...

Za dworem błoń przejasna... falująca... złota —
...Jeziora szafirowe z zaklętymi dzwony...
...U drogi wierzb płaczliwych pochylona rota...
Co leje modre cienie w południa spragnione...

...Aleje topolowe zaklęte i długie,
Mroczne i rozpachnione, jak przedsionki baśni...
Wieczorne blado — złote, zmierzchów płynne smugi...
Szepczące: „śpij"... tak długo, póki łan nie zaśnie...

Wsiowi ludzie wyciągną do mnie czarne dłonie
...Czeka mię lekkich sierpów pieszczotliwe granie
...Kopica żrało — kłosna, co bursztynem płonie
Cud... balsam... myrra... mięta... po skoszonym sianie...

Czekają mnie lip starych mistyczne nokturny,
Bolesne i przeciągłe fujarek wołania...
...Chaty płasko zlęknione, zgarbione i kurne,
Które malw kolorowa fontanna przysłania...

...U studni zadumane, skrzypiące żurawie
Z dziobami pytającо w niebo wzniesionymi,
Filozofowie wiejscy, marzący na jawie
O tym, o czym nie wiedzą ci, co są na ziemi.

A. E.

DOPISEK WZBUDZIŁ WSPOMNIENIA...

„Dumka". Maleńki dopisek Pani na pocztówce „Blanki", przypomniał mi te chwile, gdy pomiędzy nami istniał stały kontakt listowny. Jakże kochałam te słodkie arkusiki P.! Tyle w nich było poezji, świeżych uczuć dziewczęcych, czarującej melancholii, jak w żadnym innym liście. Listy Pani były jedyne w swym rodzaju. Nieraz tęsknię za nimi. Jednakże... trudno mi teraz wymagać od Pani częstego pisania listów. Dom, mąż, dziecina, obowiązki rodzinne itd. w zupełności usprawiedliwiają i rozgrzeszają Panią z milczenia. Pocieszam się więc tylko tym, że zawsze o nas Pani pamięta i jest taka cichuteńka i szczęśliwa po swojemu z tym nowym życiem. Proszę przyjąć ode mnie serdeczne pocałunki!

MACIE RACJĘ!...

„Marusia" i „Zonia". Kochane Dziewczynki, „Marusiu" i „Zoniu", wdzięczna Wam jestem, że przypomniałyście się mnie takim kochanym liścikiem.

„Mamy nadzieję, że taka kochająca osóbka, jak Pani, nie zapomina o najmniejszym robaczku, a więc i o nas nie zapomniała" — piszecie, Moje Kochane i macie rację. Pamiętałam i o Was i wszystkich innych przyjaznych serduszkach, którym udzieliłam gościny w „Krainie".

Pragnę, abyście były obecne na zjeździe „Krainiaków" w Żninie. Wprawdzie Śląsk leży daleko od Poznańskiego, ale w dobie kolei żelaznej, czyż może wchodzić w rachubę jakakolwiek przestrzeń? O ile więc pozwolą Wam na to środki materialne, oraz będzie dopisywało zdrowie — przyjeżdżajcie! W dużym i wesołym gronie zapomnimy na chwilę o wszelkich smutkach i troskach dni powszednich. Zabawimy się wspólnie i zabierzemy ze sobą szereg niezatartych i głębokich wrażeń.

Listem Waszym nie znudziłam się, więc na przyszłość nie przejmujcie się podobnymi względami i obawami. Piszcie prosto, szczerze i o wszystkim, a będę bardzo zadowolona. Całuję buzie!

„Halo! „Blondynie spod Grudziądza", może zdecyduje się Pan przesłać nam kilka słów? Sprawiłby nam Pan wielką przyjemność. Odpowiedź zapewniona! Ślemy moc pozdrowień!

„Żymełko", chciałybyśmy i z Panią korespondować, lecz nie mamy odwagi pierwsze napisać. Serdecznie pozdrawiamy!

Moc pozdrowień przesyłamy również „Wisi", „Dziewczynce z Ludu II", „Wesołemu Broneczkowi", „Rybakowi z Helu" oraz wszystkim Ślązaczkom i Ślązakom".

SIEROTA

W wieczornej, cichej godzinie,
Siedzi samotna i marzy;
Czasem jej z oka łza spłynie,
Lecz się nikomu nie skarży.

Jest taka sama wśród ogromu
Tych ludzkich istnień, tych dróg —
Sierota, co nie ma domu,
Co obcy dla niej każdy próg...

O, nie płacz! bo i dla ciebie
Zaświeci słoneczko jasne
I wzejdzie gwiazdka na niebie,
Co nigdy może nie zgaśnie.

Marta Domagałowa.

OCHOTA NAWIĄZANIA PRZYJAŹNI

„Fred". Pragnienie Pana zostało spełnione — należy już Pan do naszej „Rodzinki" i ma prawo korzystać z wszelkich przywilejów, nadanych Sympatykom mojego działu. Wolno więc Panu pisać do mnie, ile razy będzie ochota, wolno korespondować z Sympatykami itp. A teraz zamieszczam list, który przedstawi nam Pana.

„Jestem ciemnym blondynem, średniego wzrostu o piwnych, marzycielskich oczach, podobno bardzo przystojnym, mającym serce z radu, czułe na setki kilometrów.

Jestem miłośnikiem przyrody, muzyki i wszystkiego, co piękne. Szczególnie jestem wielbicielem czarujących walczyków oraz sentymentalnych tang. Pragnieniem moim jest zapoznać się bliżej z miłymi Czytelniczkami i Czytelnikami „Moich Powieści", celem nawiązania złotej nici przyjaźni za pomocą korespondencji.

Zatem — czy Miłe Czytelniczki i Czytelnicy podadzą mi bratnią dłoń i czy przyjmą mnie do swego grona?

Czy która z Czytelniczek skreśli choćby parę słów do oczekującego chłopczyka?"

WYOBRAŻAM SOBIE...

„Czarny Hajduczek". Ślicznie dziękuję za nadesłaną pocztówkę! Wyobrażam sobie ile niezapomnianych i pięknych wrażeń wywiozła P. z Torunia, bardzo miłego miasta. O wielkiej rewii wojsk słyszałam dużo, ale to nie przeszkadza, abym czekała z niecierpliwością na wiadomości od Pani. Ciekawa jestem, co mi Pani napisze o swoich spostrzeżeniach i tej „znakomitej zabawie"!

„WYPOWIEDZCIE SIĘ"...

„Banialuka". Pomimo lekkich wahań, wierzę, że będzie Pani obecną na wielkim zjeździe „Krainiaków", słodka „Banialuczko". Bardzo o to proszę i wiem, że poprą mnie w tym i inni i może wspólnie zdołamy Panią nakłonić do przyjazdu. Zyska Pani dużo, bo m. in. nasunie się również okazja zwiedzenia sławnej osady prehistorycznej w Biskupinie oraz Targów Pałuckich. Czekam na Twoją ostateczną decyzję, Kochanie i ślę Ci ciepłe uściski.

„Wieszczko Kwiatów" nie gniewaj się. Może odezwiesz się pierwsza?

Helu J., kochane z Ciebie stworzenie. Ślę Ci dużo buziaków!

„Biała Niezapominajko" i „Jagienko", niestety, nie mogłam. Może Wy się zdecydujecie?

„Cyganko o smętnych oczach", no i cóż? Rok już minął!

„Te - Em"! Jesteś Tadkiem M. z M., ostatnio byłeś w A., czy nie? Zgadnij kim jestem!

„Kazimierzu Junoszycu"! Pocóż kolega nawet imię zmienił? Własne jest ładniejsze.

Panie Olku S. z B.! Dziękuję za przesłane kiedyś życzenia!

Halo! „Krainiacy" z Poznańskiego! Możeby tak całą grupą wybrać się do Żnina na zjazd rowerami? Mogłaby być bardzo przyjemna wycieczka, tym więcej, że przyjmowałoby się wszelkie przyczepki z linij Poznań — Gniezno — Żnin lub Poznań — Rogoźno — Żnin. Wypowiedzcie się na ten temat „Krainianki" i „Krainiacy".

ULICZNA PIOSENKA

Rwie w ostrorożnych zaułków targowiska
Piorunami i zemsty pogardą trawiona,
Dowcip gryzący w dal bije, ironia tryska —
Strzęp dawnej piosenki — co z nędzy zrodzona.

Gorzka płynie, u biedaków wzrasta w sile,
Hej! bieży ochoczo z prądem niby rzeka —
Tutaj zna ją każdy — i kwiaty i motyle,
Lecz najpotężniej serce szarego człowieka.

W trudnym znoju życia promyk rzuci słońca,
Rozkrzyczana, lecz bez treści obiega gród —
Śmieje się sarkazmem — tłumom urągająca.

Śmiało, jak intruz do każdych dobija się wrót,
Z wisielczym humorem będzie trwać do końca:
Bo stworzył i cieszy się nią — dziad, nędzarz i głód...

Zbigniew Wicherek.

OCZEKIWANIE

(z poezji staro - japońskiej).

On nie przychodzi! Czekam go daremnie!
Cisza — żurawi tylko słychać krzyk...
Pusto — noc ciemna. Teraz wstrząsa ciemnie
Skrzyp wrót szarpanych i wichury ryk.
A ja stoję smutkiem blada,
Deszcz kroplami na mnie pada —
Na wskroś mnie przenika dreszcz,
W taki wicher i deszcz!

Już jest późno. On już się nie zjawi!
Lecz ja nadziei nie porzucam złud...
Taką nadzieją i żeglarz się bawi,
Gdy wichry zmarszczą jasną szybę wód.
Ach, skoro się nie udało
Tulić się doń przez noc całą —
Niech mi chociaż słodkie sny
Z ócz zcałują łzy.

J. S.

NA SKUTEK NAWAŁU KORESPONDENCYJNEGO

P. A. B. Kuźnica. Żal Pana jest bardzo słuszny, ale wierzę, że minie on, gdy dowie się Pan, że sprawa była nie załatwiona tylko na skutek nawału korespondencyjnego, a nie złej woli. Przesyłam Panu miłe pozdrowienia!

W SIERPNIU

„Blanka". Pocztówkę z Bąckiej Huty — odebrałam i bardzo za nią dziękuję! Co skłoniło Panią do spędzenia wakacyj u kochanej „Dumki". Zaproszenie, prawda? Ciekawa jestem szczegółów!

Jeżeli chodzi o przyjazd Pani do Żnina, to proszę wybrać sierpień. Cieszymy się na tę chwilę i już naprzód wyobrażamy sobie, jak nam będzie razem dobrze. Pa!

KTO PODA ODPOWIEDNIĄ MIEJSCOWOŚĆ?

„Zapomniany kryształ“. Trochę zmieniłam Pani pseudonim, ale wierzę, że nie będzie Pani miała oto do mnie żalu. Chodzi mi bowiem tylko o naturalne brzmienie pseudonimu, a nie o inne względy.

„Jestem młodą dziewczynką z roześmianą buzią i żywym usposobieniem. Zdawało by się, że nic mi do szczęścia nie brakuje, a jednak ogarnia mnie nieraz smutna zaduma. Tak pragnę jakichkolwiek żywszych wrażeń. Myślę też na serio o tym, aby czymś zainteresować i zająć się. W tym celu mam zamiar otworzyć sobie skład towarów kolonialnych. Fundusze posiadam, chodzi mi tylko o miejscowość, w której skład taki prosperowałby. Może ktoś życzliwy poda mi odpowiednią miejscowość? Będę bardzo wdzięczna.

„Ali“, czy poznałeś mnie? Pomyśl nad pewnymi sprawami i zrozum, że inaczej być nie mogło z powodu bliskich osób. Bądź zdrów!

„Jesienny Wichrze“, zaciekawiasz mnie swoim interesującym pseudonimem. Wydaje mi się, że jesteś blondynem. Czy zgadłam? O ile tak — proszę o jakiś znak.

Wszystkim Sympatykom i Sympatykom — ślę tysiące uśmiechów!“

TO NIE MOJA WINA!...

„Honorata“. Skarży się Pani, że tak mało zdjęć w „Krajnie“. Cóż kiedy to nie moja wina, tylko wina „Krainiaków“, którzy nie mają jakoś ochoty pokazać się szerszemu zespołowi. A szkoda! Zdjęcia, to ogromne urozmaicenie monotonnych szpalt pisma, to nieledwie atrakcja dla wszystkich Czytelników. Korzystając z okazji zwracam się do „Krainiaków“, aby śmiało przesyłali swe podobizny do reprodukcji. Wszelkie względy i uprzedzenia w tym kierunku są nieuzasadnione. Bądźmy w każdym cału szczerzy i swobodni, nie krępujmy się uśmiechnąć chociaż z odległości z kart ukochanego przez nas kącika do tych, którzy są dla nas przyjaciółmi.

A teraz wracam do Twoich osobistych spraw, „Honorato“. Jak ładnie piszesz o sobie. Chyba wszystkim się to podoba:

„Mieszkam na wsi i dobrze mi tutaj z tą przyjaźnią przyrody. Dom nasz stoi samotnie, otoczony dookoła łąkami, polami, krzewami, łanami zboża i opasany rzeką. Piękne jest życie na wsi i zawsze pełne swobody. Jedyną bolączką, to chyba brak towarzystwa. Nieraz zatęskni się za kimś, skim mogłoby się porozmawiać na wszelkie tematy, podzielić wrażeniami i spostrzeżeniami. Nic więc dziwnego, że chodzi wszystkim Sympatykom o korespondencję i zdobycie przyjaznej duszy.

Na zakończenie przesyłam dużo słów uznania dla tych wszystkich, którzy piszą w „Moich Powieściach“ wierszyki. Szczególne uznanie ślę p. Tadeuszowi Multańskiemu za wiersz — „Jestem sam“. I ja czuję się podobnie samotna, czy więc to nie skłoni Pana do skreślenia kilku słów do mnie?

Moc serdeczności — „Blance“, „Bajce“ i „Uranowi“.

Tych, którzy lubią pisać listy, proszę gorąco o nawiązanie ze mną kontaktu i przesyłam Im dużo, dużo serdecznych pozdrowień z Pomorza“.

POGODNA MĄDROŚĆ

Chociaż cię zdradzi okrutnie
najsłodsze twe kochanie,
niech w duszy twej promiennej
słoneczność pozostanie.

Chociaż cię błotem obrzuci
dłoń serdecznego drucha,
niechaj, zwątpienie przenigdy
nie zaćmi twego ducha.

Błogosław kwiaty na łące
i słońce na błękicie...
Choćby ci serce pękało,
z uśmiechem idź przez życie...

Julian Ejsmond.

NIE JEST TAK ŹLE!

„Dyktator“. Piękna jest ta uroda przyrody, opiewana przez Pana w słowach listu. Byłabym niepocieszona, gdybym i ja nie mogła jej podziwiać w szarym kącie redakcji, jak to się Panu wydaje. Otóż nie jest ze mną tak źle! Widzę również dużo zieleni, dużo kwiatów i błękitu nieba z okien redakcji. Brak mi może tylko tych przestrzeni, tych bezmiarów, które Pan ogarnia oczyma. Ale... jestem zadowolona! Nie skarżę się! Bo czuję, że byłabym niesprawiedliwa. Ileż to bowiem ludzi mieszka w takich warunkach, że o zieleni, o kwiatach i szerszym widoku nieba mogą tylko śnić. Nie znają zapachu rozkwitłych róż, nie wiedzą, co to znaczy położyć się, na kopie pachnącego siana lub płynąć łodzią po falach jeziora. Biorę to wszystko zawsze pod uwagę i cieszę się, że mi lepiej od tych biedaków — mieszkańców piwnicznych mieszkań wielkiego miasta. I Ty, „Dyktatorze“, uśmiechaj się całą duszą do Boga, że możesz żyć swobodnie, jak ptak i korzystać z darów przyrody! Ślę Ci dużo serdeczności i pozdrowień!

„Rusałko“, odwzajemniam Twoje pozdrowienia.

„Aloha“! Proszę o przebaczenie! Łobuz ze mnie, prawda? Nie chciałem Cię obrazić.

„Wędrowna Chmurko“, kiedy Cię zobaczę na moim niebie.

Czy ktoś z „Krainy“ zechce do mnie napisać? Czekam z utęsknieniem i przyrzekam solennie na każdy list odpowiedzieć“.

PRZEKAZAŁAM NA POSTE-RESTANTE

„Ferdy“. Treść ostatniego listu Pana przyjęłam do wiadomości. List, znajdujący się w redakcji przekazałam na poste-restante. Tajemniczość Pana zupełnie rozumiem i bynajmniej myślę jej kwestionować. Łączę silny uścisk dłoni!

NIE MYŚLĘ NIKOGO WYRÓŻNIAĆ...

„Biała Różyczka“. „Zdążyłam zauważyć, że Pani odnosi się do innych Sympatyczek życzliwiej, niż do mnie“... Zapewniam Cię Moja Dziewczynko, że to tylko złudzenie! Nie myślę nikogo wyróżniać, bo to nie miałoby najmniejszego celu i mijałoby się z moim założeniem, że tylko równość, harmonia i jednakowe traktowanie, mogą w „Krajnie“ stworzyć idealną atmosferę. Bądź więc spokojna i wierz mi, że nie myślę kochać Cię i cenić mniej od innych dziewczynek. Uśmiechnij się do mnie, „Biała Różyczko“!

„Halo! Wszystkie „Różyczki“ z „Krainy“! Przyjmijcie ode mnie serdeczne pozdrowienia. Może napiszecie do mnie?

„Muzykalnemu Żukowi“ i „Samotnemu Chorżow I.“ — ślę miłe pozdrowienia.

„Paganini z Pałuk“! Dziękuję za fotografię. Czy list bez opłaty wysłałeś celowo?!

„Ferdy“, zainteresował mnie Twój pseudonim. Może napiszesz do mnie. Lubię przygody i ciekawe wrażenia. Przebywam często w Wągrowcu!“

PRZYJMUJĘ!...

„Szare oczy“. Dobrze, przyjmuję „Szare oczęta“ do „Krajnki“! A czy te „oczęta“ potrafią być wierne? Radość nasza byłaby wielka, gdyby tak istotnie było!

A teraz podaję do ogólnej wiadomości, że: „Szare oczęta“ mają ogromną ochotę otrzymać ładne liściki.

Bardzo kochają „Krainę“ i przesyłają „Krainiakom“ moc uśmiechów.

Proszą, aby listy kierować na poniższy adres: „poste-restante, Dubno, (dla „Szarych oczął“).

Dla „Rowerzysty z nad Ikwy“ przesyłają następujące słowa: „tak, rzeczywiście mieszkamy blisko siebie, ale list pragnę otrzymać pierwsza. Zasyłam miłe pozdrowienia i czekam na jakikolwiek znak“.

„Uśmiechowi Majowemu“, „Małej Konwalijce“ i Kazimierzowi Junoszycowi — ślą dużo serdeczności“.

TO NIEŁADNIE...

„Lan - Cheng“. Mamusia ma rację — powinna Pani pójść do lekarza !Niech zapisze Pani coś na apetyt, niech zbada Panią i orzeknie, czy organizm w porządku. Inaczej dolegliwościom nie będzie końca! I — Droga Dziewczynko! — proszę skończyć z apatią. To nieładnie zasępiać się, kiedy ma się tak kochanego chłopca. A może to tylko tęsknota, z powodu rozłąki, tak Cię rozżala? Jeżeli tak — już się nie gniewam! W tym wypadku muszę być wyrozumiałą i tylko pocieszyć Cię, że za miesiąc „światopogląd“ zmieni się. O, tak! Gdy poproszą o to bardzo drogie usta — zmieni się! Stara, jak świat prawda, która i u Ciebie Kochanie, znajdzie niewątpliwie oddźwięk. Wierzę w to i pełna tej wiary udzielam Ci głosu:

„Bajkał“, dlaczego milczysz?

„Basiu“, bardzo dziękuję za tych kilka serdecznych słów. Sądzę, że czas zrobi swoje i sprawi, że zmienię się. Odwzajemniam uścisk dłoni!

„Smutna i brzydka Irko“! Zdobyłam się na odwagę i napisałam, ale z wielką tremą. Łączę pozdrowienia!

„Henry“, odpowiedź pod „Waldemira“ — przeczytałam. Stenia pamięta i zdziwiła się ogromnie. Za pozdrowienia dziękuje i odwzajemnia je. Sądzi, że jeszcze się z Panem zobaczy, bo niezadługo wybiera się do Poznania. Dołączam i od siebie pozdrowienia!“

UWAGA, SOKOLI!...

„Li — Sokolica“! Tu mówi Bronka Błaszakówna! Pracuję obecnie w Wągrowcu. Napisz do mnie na adres: Wągrowiec, Rynek 9. Na pewno jesteś z okręgu gnieźnieńskiego, czy przypadkowo nie z Kłecka? Ściskam Cię i sokole — Czołem!

Halo! Miłosław! Wszystkim Druhnom i Druhom moc pozdrowień i — Czołem! Tęskno mi za Wami!“

Bronka Błaszakówna.

OCZYWIŚCIE!

„Bronka“. Oczywiście, może mnie Pani odwiedzić i w niedzielę, tylko — proszę mi donieść, o której godzinie Pani przyjeżdża, abym była obecna w redakcji. Maleńka, czy długo pozwolisz mi czekać na tę obiecaną wizytę? Chyba nie? Apel Twój zamieszczam na innym miejscu!

TRZEBA WALCZYĆ Z TĘSKNOTĄ

„Alpejski Fiołek“. Dziewczyneczko! Nie radzę Ci tak bardzo tęsknić za obcym środowiskiem, skoro i tak za rok opuścisz swoją rodzinę i pójdziesz w świat. Pamiętaj, że „wszędzie dobrze, a najlepiej w domu“. Przysłowie to jest stare i utarte, ale zawiera w sobie głęboką prawdę. Bądź więc zadowolona z tego, co posiadasz. Zresztą, czyż może Ci być źle? — jesteś zdrowa, posiadasz kochającą Cię rodzinę, masz możność uczyć się tylu pięknych rzeczy, m. in. i gry na skrzypcach. O cóż więc Ci chodzi? O tę chwilową tęsknotę za czymś nowym i ciekawszym? Oto moja rada: stłum ją i ucz się cieszyć z tego, co posiadasz, ucz się być dzielną i wytrwałą w wszelkich cięższych sytuacjach życiowych. Tak, jak Ty, tęskni tysiące ludzi i gdyby tęsknota ta rządziła ludźmi, a nie ludzie nią, rozpoczęłyby się nowe „wędrówki ludów“. Na pewno! Pozostanie Ci więc, Kochana Moja, wypowiedzieć walkę swej tęsknocie. Czekam na rezultat tej walki! Tym czasem zaś zamieszczam Twoje komunikaty:

„Rudi“, proszę przyjąć jak najserdeczniejsze pozdrowienia od „Alpejskiego Fiołka“!

Mirko Rączkiewicz! Napisz, Kuzyneczko i abonuj dalej „Moje Powieści“. Może wybierzesz sobie jakiś pseudonim i postarasz się poznać w „Krajnie“ kogoś miłego z Poznania?

P. Tadeusz Rawicki, mam wrażenie, że się trochę znamy. Ślę uznanie za wierszyki i pozdrowienia!

(Dalsze komunikaty trochę nieczytelne. Nie zamieszczam ich, gdyż boję się niedociągnięć i nieprawidłowego podania poszczególnych nazwisk i pseudonimów. Na przyszłość proszę pisać czytelnie. Zgoda?!)

POLECIŁAM WYSŁAĆ!

„Sentymentalna Rusałka". Czy otrzymała P. brakujący numer „Moich Powieści"? — poleciłam wysłać!

A teraz, Moja Mała Przyjaciółeczko, odstępuję Ci trochę miejsca, abyś mogła zakomunikować to i owo „Krainiakom". Równocześnie przepraszam Cię, że tak ni stąd ni z owąd, przeszłam z „pani" na „ty", ale widzisz — chcąc zawrzeć przymierze przyjaźni, trzeba stracić nieco na oficjalności. Rozumiesz to, prawda i nie będziesz się gniewała, jeżeli będę zwracała się do Ciebie jak najprościej — przez „ty"?

„Wenus", składam Ci gratulacje z okazji pięciolecia przynależności do „Krainy"!

„Wesoła Różyczko", jak to dobrze być wesołą! Pozostań zawsze taką, a życie wyda Ci się milszym. Przyjm ode mnie serdeczne uściski!

„Bolku", ślę Ci dużo pozdrowień! Czy dowiem się kim jesteś? Może prześlesz mi kilka słów? Odpowiedź — pewna!

Kazimierzu Junoszycu, jaki ładny posiada Pan pseudonim! A może to nie pseudonim? Czy nie zechciałby Pan ze mną korespondować? Tematów na pewno nam nie zabraknie.

P. Adamowi Czekalskiemu składam pełne uznanie za subtelną treść wiersza — „Zwidy", oraz przesyłam Mu pozdrowienia.

Moc serdeczności przeznaczam dla: „Skromnego Fiołka", „Uśmiechniętej Wandulki", „Rusałki" „(wkrótce napiszę!), „Henry'go" i „Willy'ego. Dla reszty „Krainiaków" — radosny uśmiech!"

CZY SZUKAĆ NALEŻY DALEKO?

Czy szczęścia szukać należy daleko?
Czy się zakryło przestrzeni obszarem,
I drzemie za siódmą górą i rzeką,
Owiane tajni i dziwów koszmarem?

Czyli jest marzeń młodzieńczych majakiem,
Wytworem żywotnych sił i radości?
Albo jako dobro, życia jest brakiem —
Niebytem wśród ludzkich zbrodni i złości?

Powiadam tedy otwarcie i szczerze,
Że tak sądząc, nadaremnie szukacie,
I która droga prawdziwa nie wiecie!

Bo szczęście samo się daje w ofierze.
A choć takie bliskie, wy go nie znacie
Bo Ono wyśnione mieszka w kobiecie. —

B. S.

DZIĘKUJĘ ZA POCZTÓWKĘ!

„Niezapominajka". Pocztówkę z miłym widokiem na Kamienną Górę — otrzymałam i składam za nią szczere podziękowanie. Na pocztówce tej znajduje się także następujący dopisek: „Przesyłam pozdrowienia dla „Pella" i „Krainiaków" z okolic Grudziądza — „Niezapominajka".

KAŻDA KORESPONDENCJA DAJE PEWNĘ ZADOWOLENIE...

„Kropelka leśnej rosy". W tej chwili myślę o tym, czy „niecierpliwe oczekiwanie" Pani dało dobry rezultat. Oby! Pragnę tego również gorąco, jak i Pani.

A teraz palące zagadnienie: z kim korespondować, aby wynieść z korespondencji maksimum zadowolenia? Przede wszystkim zwracam Pani uwagę na to, że każda korespondencja jaka by nie była, daje pewne zadowolenie, jeżeli jest się dobrym obserwatorem i psychologiem. Wyobraź sobie, Dziewczynko, że koresponduję z takimi, którzy ledwo potrafią powiązać jedno zdanie z drugim, a mimo to jestem zadowolona. Wiem bowiem dużo o życiu tych ludzi, o ich zapatrywaniach, zamiarach i sądach, pomimo, że chata piszą przez samo h i trud przez ó. Kochanie, ustosunkuj się podobnie do swoich korespondentów, a zobaczysz jaka to przyjemność poznawać charaktery ludzkie. oceniać ich wartość na odległość i najważniejsze: zdobywać sobie przyjaźń, zaufanie i serdeczność u osób nieznanych i zasadniczo obcych nam zupełnie.

A teraz, ponieważ wyczuwam, że Ci zależy na tym, wymieniam kilka moich Sympatyczek i Sympatyków, którym chodzi o ciekawą i szczerą korespondencję. Napisz do Nich, a na pewno będziesz zadowolona. A więc z całą przyjemnością (prawda?) odbiorą od Ciebie „Kropelko", liścik następujące osoby: „Kalina", „Smutna Iwonka", „Blanka", „Zaza", „Wołyniak", „Zrównoważony Jaś", „Belfer", „Duch Puszczy". Oczywiście inni także, ale dalszy wybór będzie już zależał wyłącznie od Ciebie. Przyjmij ode mnie dużo pozdrowień!

TRUDNO GNIEWAĆ SIĘ...

„Młody Orzeł". Jakże wdzięczna jestem P. za ten długi list! Doprawdy, trudno gniewać się na Pana, trzeba uśmiechać się życzliwie. nawet do tych długich komunikatów. No, ucieszą się Sympatycy, gdy znajdą w nich coś dla siebie! Wyobrażam sobie!

Zdjęcia — oryginalne i miłe. Żałuję, że nie są wyrazistsze, dałabym jedno z nich na okładkę. A może postara się Pan o odpowiednie? Dobierzemy do niego wierszyk i całość wypadnie ślicznie. Polecam to uwadze Pana.

A propos powierzchowności Pana: chciałabym ogromnie zobaczyć tego Abisyńczyka z kędzierzawą czupryną i czekoladową skórą. Niewątpliwie byłabym zachwycona. Opalona skóra, to wielka nobliwość w okresie lata. Zapewnie niejeden i niejedna szczerze pozazdroszczą tego Panu i zapragną jak Pan, bujać w przestworzach, płynąć w słońce oraz robić wyścigi z chmurami i ptakami! Niestety pragnąć mało, gdy nie nosi się tego pięknego imienia — „lotnik".

No, ale kończę, bo muszę pamiętać o miejscu na komunikaty. Pozdrawiam zatem Pana i bardzo, bardzo proszę pomyśleć o nas znowu. Dla lotów w stratosferę — załączam życzenia pomyślności i powodzenia!

„Krakowianko", dziękuję za pozdrowienia i życzenia. Nawiasem dodaję, że gród Twój, stary Kraków, znam doskonale. Ostatnio byłem w nim w kwietniu br. Śliczne miasto, a jego mieszkanki również!...

„Barciu", jesteś rozsądną dziewczynką. Zachowam miłe wspomnienia. Ściskam łapki!

„Wesoła Pomorzanko", wydajesz mi się sympatyczną, dzięki Twoim radosnym i jasnym uśmiechom, oraz szczerym życzeniom, przekazywanym mi w „Krainie". Pozostań zawsze taką dobrą i milutką. Odwzajemniam braterski uścisk dłoni!

„Marzence z Ameryki" komunikuję, że na drugiej półkuli jeszcze nie byłem i narazie nie mam tam zamiaru pojechać. Korespondencja nasza nieaktualna, bo, niestety, nie znam języka angielskiego. Pozdrowienia odwzajemniam!

„Reno z Kujaw", jesteś śliczną dziewczynką, podobasz mi się. Łączę pozdrowienia!

„Wesoła Różyczko", loty są zawsze przyjemne, ale czasem zdarzają się i nieprzyjemne i to wtedy, gdy jest t. zw. „kibel" w powietrzu. Miałem godzinę takiego lotu — dziękuję!... Pozdrowienia przyjmuję, no bo, gdy dziewczynka o to prosi, w dodatku milutka, trudno odmówić. Taki już jestem! Przesyłam promienny uśmiech i to — wszystko!

„Czarny Hajduczku"! Znam Panią, a wszystkiemu winna „Grand café restaurant", no i „Fakir" alias „Henry". Pozdrowienia serdecznie odwzajemniam!

„Stefci", „Czarnookiej Blondynce II", „Figlarnej Mimi", „Dziewczęciu z ludu II", „Milutkiej Lenie oraz „Hel" — dziękuję za komunikaty, przesłane dla mnie, również za pozdrowienia. Odwzajemniam się uściskami łapiąt.

Halo! Halo! Panie A. Czekalski! Co słychać u Pana? Dlaczego już Pan nie mieszka w Pińczowie, pewno zmiana ta jest potrzebna dla dobra pracy literackiej? Z Pińczowa wywiozłem dość miłe wspomnienia. Cieszy mnie to również, że miałem zaszczyt poznać Pana osobiście. I to tak niespodziewanie! Zabawa maturzystów była wspaniała! Pamięta Pan ją, prawda? Zasyłam serdeczne pozdrowienia i mocny uścisk dłoni. Jeden z „ferainy".

Całej „Krainie" — nasze lotnicze „Cześć"!

PRZYJEDŹ!...

„Bajka". Moja Milutka „Bajko"! Radość Twoja, niestety, pryśnie, gdy się dowiesz, że nasze plany, związane z Łodzią, uległy wielkiej zmianie. Nie podaję Ci narazie powodów tych zmian, gdyż zapewnie doniesie Ci o tym nasz słodki bobasek — Rysia.

Czy wybierasz się Kochanie, na zjazd „Krainiaków" w Żninie? Przyjedź! Poznasz tyle miłych osób, no i przy tej okazji mnie i Wujka Janusza. Ten ostatni dosłownie promienieje na myśl, że zobaczy swoją kochaną „feraine" i będzie mógł z nią pokonferować. Żegnaj, „Bajko" i pomyśl na serio o projektowanym przez nas zjeździe!

„Wandziu z B.", ślę Ci, Kochanie, dużą garść jasnych promyków nadziei lepszego jutra!

„Przedwiośnie", za kilka miłych słówek w „Krainie", ślicznie dziękuję. Żałowałaś, że nie mogłaś mnie poznać osobiście w r. ub. w Gdyni? Może w tym roku da się życzenie zrealizować? Wybieram się do Warszawy, a podobno i Ty, Kaziuniu, w stolicy wkrótce będziesz. Adres mój podano Ci dobrze. Napisz!

„Biała Uajali", „Mała Konwalijko" i „Maruszko"! Tyle, tyle o was, Moje Kochane, słyszałam od jednej z „Krainianek" dobrego, że nie mogę oprzeć się chęci przesłania Wam za te wasze poczciwe, tak niezwykle szlachetne odruchy względem bliźnich, czułych uścisków. Chciałabym też bardzo, bardzo poznać Was osobiście. W Łodzi bywam dość często.

„Blanko", wierszem, poświęconym cieniom „Stelli Maris", sprawiłaś mi dużą przyjemność! Przyjm za niego Siostrzyczko, serdeczne podziękowanie!

„Wirrycie"! Czy ze spotkania ma być fiasko? Domyślasz się zapewne kto jestem? Słyszałam, że dużo razy przy spotkaniu z „Krainiankami" rozczarował się Pan. Może tym razem tak źle nie będzie? Radzę spróbować. Adres mój na poste-restante zna Pan, prawda?

„Łobuz z Orchowa"! Prosi Pan o bajeczkę? A o czym? Napiszę w odpowiedzi na list. Zgoda?

„Lawrence"! Życzę przyjemnych wakacyj!

„Kam — Mar"! Czy należy Pan jeszcze do „Krainy"? Mam coś niezwykle ciekawego i miłego Panu do zakomunikowania.

„Wicha", „Królowa Gizella" i „Rewelers"! Pozdrowienia od Was odwzajemniam serdecznym i mocnym uściskiem rąk. Może napiszecie do mnie?

Następnie cała „Krainko"! Tak, jak rok rocznie, tak i w tym roku w sierpniu zakończy prawdopodobnie wakacje pielgrzymka do Częstochowy. Czy jest z niej ktoś w „Krainie"? Z przyjemnością znalazłabym wolną godzinę na spotkanie. Czekam na echo!"

DAWNO JUŻ...

„Irek". Ostatnie miesiące przyniosły dla „Krainy" szereg radosnych wydarzeń, którymi były odezwy Sympatyków, uparcie milczących przez dłuższy czas. Takim radosnym wydarzeniem był i Twój list, „Irku". Dawno już nie miałam od Ciebie żadnej wiadomości!

Z całą przyjemnością odczytałam Twoje oświadczenie, że powieści, zamieszczone w naszym dwutygodniku, podobają Ci się coraz to więcej. Postaramy się, aby to uznanie nie osłabło.

Co do „Chwili zastanowienia", to pochwalam projekt Pana i jak najchętniej godzę się przyłożyć swą rękę w celu ulepszenia tego działu, jeżeli Pan dotrzyma obietnic, związanych z dostarczeniem różnorodnego materiału.

A teraz jak najserdeczniej dziękuję Panu za życzliwość, okazaną naszemu wydawnictwu. Robi Pan dużo dla nas i w dodatku bezinteresownie, a więc wdzięczność nasza jest wielka.

Numery okazowe zostały wysłane, tak, że pozostanie mi tylko pozdrowić Pana i przekazać dołączony do listu komunikat:

„Duśko", serdecznie pozdrawiam i proszę o krótki liścik. Przypuszczam, że spotkamy się na zjeździe „Krainiaków" w Żninie".

PROSZĘ POMYŚLEĆ!

„Wierna". Pseudonim wybrałam Pani, tylko nie wiem, czy będzie odpowiadał upodobaniom Pani i najważniejsze — czy... pozna go Pani. Z nadzieją, że tak, pospieszam zakomunikować Pani, że sprawa prnumeraty została pomyślnie załatwiona.

Żałuję, że tak mało napisała Pani o sobie. A chętnie dowiedziałabym się niejednego, np. czy wybiera się Pani znowu za granicę, czy serduszko zawsze spokojne i wolne i czy nadal pracuje Pani. Sprawy te obchodzą mnie żywo, bo przecież należą one do Pani — mojej starej Przyjaciółki i jednej z najwierniejszych zwolenniczek naszych wydawnictw. Może znajdzie kiedyś Pani trochę czasu, to proszę wtedy pomyśleć o mnie i donieść mi cokolwiek o wyżej wymienionych sprawach.

BĄDŹ BLISKO

Gdy będę kiedyś na roztajach dróg,
A rozum weźmie nad sercem górę,
Ratuj mnie, drogi, wstąp w serca próg
I rozprósz ciężką życia chmurę.

Nie daj mi ginąć i upaść nisko,
Bo to tak łatwo a ludzie tacy źli...
Kochaj mnie mocno i bądź przy mnie blisko
I nie porzucaj, bądź wiernym mi.

H. S. S.

PRZEKAZAŁAM!

„Wytworny Włóczęga". Komunikuję Panu, że życzenia imieninowe przekazałam według podanego adresu i jak najserdeczniej pozdrawiam Pana!

W POŁOWIE DROGI

Jeszcze się dzieciństwo bez żalu wspomina —
Przecież to było wczoraj...
Lecz od tych czasów jest się mędrszym o beczkę wina.

I o całe morzy goryczy...
Ale gorycz się nie liczy.
Nie pora.

A słońce stoi już wprost ponad głową,
O cieniu nie ma mowy,
Tylko — tak czasem — ni to... ni owo...
Zasłuchanie — pochylenie głowy:
A jednak cień.

Przekreśla się dawne miłości
I ściera z ust dawne pocałunki,
Takie to już nieprawdziwe i zwiędłe!

Trudno. Trzeba zacząć życie na nowo.
Rachunki,
Bo serce jest już oszczędne.

Aż wreszcie objawia się dziwny związek
Z tym wszystkim, co mawiał nasz ojciec...
Przychodzi zrozumienie słowa: obowiązek.
Bunt przycicha:
Na wielkim drzewie jest się jedną z gałązek.

J. K.

NIE RADZĘ...

„Nieznana". Polemika niezwykle ciekawa i absorbująca, to prawda, ale podjąć jej nie mam ochoty. Takie zagadnienia mogą interesować tylko ludzi skrajnych i bardzo wolnomyślnych. Moja Droga Pani! Daleko nam do tych ideałów, do tych przejaskrawionych systemów życiowych, aby próbować w tym kierunku cokolwiek tworzyć. Już na wstępie swoich poczynań zrozumie Pani, że niektóre zapały, są tylko zapałami jednostek, a nigdy nie zdołają ogarnąć tłumów. Nie radzę Pani mieć w tym kierunku żadnych nadziei i lepiej starać się rozumieć prawdziwą istotę życia dobrej i szczerej katoliczki i kobiety polskiej. Za pozdrowienia dziękuję! Dalsza korespondencja konieczna ze względu na sprostowanie niektórych szczegółów.

POŚLĘ CI BUKIET RÓŻ...

Zakwitły róże w ogrodzie,
zasianym złotym słońcem —
poślę ci bukiet róż
na znak miłości gorącej.

Poślę ci bukiet róż,
który będzie wyznaniem
i przypomnieniem
rocznicy naszego poznania.

Na kartce wypiszę słowa,
Spowite w welon tęsknoty,
Że oczekuję wciąż jeszcze
twego powrotu. — — —

Nadzieję słodką
w wieczornej ciszy uwiłem:
może powrócisz do mnie,
uwierzysz w moją miłość?...

Może się zacznie nowe życie
inne, piękniejsze, niż dotąd,
to bez nadziei, to bez cierpienia,
bez ciągłej tęsknoty?...

„Te-Em".

OBAWY CHYBA NIE SPEŁNIŁY SIĘ?...

„Zbijobruk poznański". Obawy Pani chyba nie spełniły się i w chwili obecnej czuje się Pani jak najlepiej w tej małej wioseczce na Pomorzu. Spokój, przyroda i samotność, to świetne warunki do wypoczynku po trudach i gwarze życia wielkomiejskiego. Boi się Pani marzeń i wspomnień? Czyż na prawdę są one u Pani tak straszne? Przy pogodnym i wesołym usposobieniu Pani chyba nie trudno uporać się z nimi. W każdym razie proszę chociaż o maleńki liścik, abym wiedziała, jak się Pani istotnie czuje.

„Czy jest ktoś w „Krainie", kto studiuje? — niech „skrobnie" do mnie!

Moc pozdrowień dla „Bursztynowego Serduszka", „Dafne", „Marzącego Sfinksa" i „Te-Ema".

Napiszcie do mnie! Pozdrawiam wszystkie „Krainianki" i „Krainiaków".

Teczka Wujka Janusza

FIGIEL

„Ho - ho". Ha! ha!, alem Panu wypłatał figla: wiersze, zamiast do druku, odesłałem do kosza. Bo trudno potraktować na serio takie rymy, jak poniższe:

Nad wodą
harce nad podziw wiodą...
Tych kóz stado,
róg o róg splótłszy, —

Opadają mi ręce — nie zrobię z Pana poety!!!

POWIEDZ MI BAJKĘ...

Ogień trzeszczy na kominie,
Przędza marzeń hen w dal płynie,
Tak bym słuchać baśni rada,
Niech mi babcia opowiada.

Tyle cudnych baśni w świecie,
Bajki babcia umie przecie,
To o smoku w wielkiej grocie,
Co pilnuje skarbów w złocie.

To o królu i królewnie,
Co śpiewała piosnki rzewnie,
Albo może o pasterce,
Co zabrała księciu serce.

Lub przypomni mi rycerza,
Co się w boju z wrogiem zmierza,
Mów mi, babciu, bardzo proszę,
Twoje bajki w myśli noszę.

Twoje baśni, te świetlane,
Z wątków marzeń twych utkane,
Niby drżące liściem drzewa,
Każda inną nutę śpiewa.

Snuj, babuniu, myśli wątek,
Zacznij tylko jej początek,
Dalej w baśni już osnowę,
Wplotę własną swoją mowę.

Stworzę marzeń mych ogromy,
Jak olbrzymów skalnych łomy,
Noc gwiaździsta rzuca czary,
Tajemnicze słychać gwary.

Rwie też moja myśl w przestworza —
Ponad ziemię, ponad morza,
Więc w marzeniach mknę bez końca
Do gwiazd złotych i do — słońca!

Ignacja Piątkowska.

NIEBEZPIECZEŃSTWA NIE BYŁO!

„Uran". Pocztówka Pana przyszła na czas, a zresztą wiersze, o które Panu chodzi, nie zostały zakwalifikowane do druku. Niebezpieczeństwa więc nie było. Ściskam Panu serdecznie dłoń!

CZY MYLĘ SIĘ?

„Blady Kwiat". Smutne są wiersze Pana. Tak smutne, że mimowoli podejrzewam Pana o jakieś przykre przejścia. Czy mylę się? Chciałbym cokolwiek więcej dowiedzieć się o Panu, niż wiem dotychczas. Proszę to mieć na względzie.

Z wierszy przeznaczyłem do druku „Smutek". Reszta wypadła słabo, zresztą, jak na pierwsze próbki poetyczne — normalnie. Ślę Panu słowa zachęty do dalszej pracy i pozdrawiam Pana!

SMUTEK

Tam gdzieś w dali — świt się pali,
Tęczy cudnej barwą gra.
Wstaje dzionek ponad pola,
Wstaje czysty jako łza.

Gdzieś w lazurach, w białych chmurach.
Brzmi skowrończej piosnki ton,
A w kościółku nade drogą —
Smętnie bije ranny dzwon.

Rolnik z kosą idzie w pola,
Wrony konik naprzód gna,
Wszystko wokół się weseli,
Tylko smutna dusza ma.

Tylko z moich ócz łzy płyną,
Gorzkie, jako morska sól,
Świat szczęśliwy — jam strapiony,
Bo w mym sercu wielki ból.

Boże! Ty, mną władasz całym,
Spraw, by, dawne szczęście me,
Napełniło znowu duszę
Pogrążoną w smutku mgle.

Spraw, bym razem z białym świtem,
Kiedy zniknie smutku cień —
Wśród wesela i radości
Mógł powitać nowy dzień.

„Blady Kwiat".

WIERZĘ!...

„Bez przyszłości". Drogi Panie! Rozumiem sytuację Pana i bynajmniej nie myślę kwestionować zapatrywań Pana. Wiem, że z chwilą, gdy egzystencja Pana poprawi się, nabierze Pan innych przekonań i inaczej podejdzie do takich przejawów życiowych, które mi Pan opisuje w liście. Wizyta Pana cieszy mnie. Wierzę, że porozmawiamy szczerze i dojdziemy do pewnego porozumienia na wszelkich sprzecznych, z moimi osobistymi zapatrywaniami, punktach. Czekam zatem na Pana i budzę serdecznie Go pozdrawiam!

TĘSKNIĘ ZA TOBĄ, TY ŚCIĘTY MÓJ LESIE...

Tęsknię za tobą, ty ścięty mój lesie,
Coś mi w dzieciństwie nucił szumem pieśni,
Wspomnień twych echo ku mnie wicher niesie,
Choć pnie wyrwane pokryły już pleśnie.
Żal mi cię, piękny mój borze,
Szczytami, koron sięgający chmury,
Ziemię, gdzieś wyrósł, dzisiaj rolnik orze,
A słońce świeci, gdzie mrok był ponury. —
Tęsknię do ciebie, lesie mój prastary,
Wydarto pnie twe z barbarzyńską mocą,
Umilkły dawno ptasząt twoich gwary
I kwiat paproci nie zakwita nocą. —
Żal mi cię, sosno stara, matko boru,
Ciebie piorunów gromy oszczędzały,
A gdyś modlitwy szeptała z wieczora —
Ludzkie ci ręce straszną śmierć zadały.
Nie obroniły cię łzy me i żale,
Ni wizerunek Matki Bożej Świętej,
Który przybito ku czci Jej i chwale
Na tobie, sosno, bezlitośnie ściętej.
Żal mi was bluszcze i wrzosy zielone,
Liliowe fiołki, białe anemony,
Dzwonki błękitne rosą uperlone,
I przeuroczych róż leśnych korony. —
Dotąd, siekiery brzmi odgłos mi echem,
Widzę, jak ptactwo ulata strwożone,
Patrzę, jak puhacz z dzikim strasznym śmiechem
Spogląda nocą na pnie drzew zwalone.
Tęsknię więc, ścięty lesie mój, za tobą
I nieraz nocą marząc wspomnień snami —
Widzę twą zieleń pokrytą żałobą,
Słyszę szum sosen — i budzę się z łzami.

Ignacja Piątkowska.

TYLKO W PEWNYCH WYPADKACH

„Poranek". Zarzuca mi Pani surowość. Może i ma Pani trochę racji, gdyż istotnie przybieram nieraz ostry ton w odpowiedziach, ale to tylko w tych wypadkach, gdy kogoś ponosi zbytnia zarozumiałość i wiara w swoje siły de facto wątpliwe i słabe. W innych wypadkach jestem bardzo względny i wyrozumiały, o czym zresztą przekona się Pani w miarę przesyłanych do mej „Teczki" utworów. Łączę miłe pozdrowienia!

kolwiek wielkość jej upadła i mimo, iż straciła swą dawną potęgę, zachowała jednak czar, którego nic nie zdoła zniszczyć".

W innym liście:

„Dobry Bóg obdarzył mnie chyba jakąś specjalną właściwością panujących, dzięki której, wyznam szczerze, nie czuję się nigdy ani zmęczona, ani znudzona uroczystymi przyjęciami, ceremonialnymi obiadami, cercle'ami — przeciwnie bawi mnie żywo to wszystko!

A Maksymilian, w jakiś czas po uroczystej procesji wielkanocnej w Wenecji, zapisuje w swych notatkach:

„Duma odczuła wówczas, gdy stojąc na stopniach pałacu Dożów, rzucał spojrzenia na tłum i czuł się pierwszym między wszystkimi, jak słońce na firmamencie!"

Wreszcie 3 września przyjazd do Werony; 6-go września tryumfalny wjazd przez Wschodnią Bramę do Mediolanu. Nieprzerwane salwy armatnie, galowe karoce, szambelanowie w bogatych mundurach, iluminacja miasta; arcyksiążę w mundurze austriackiego admirała, urocza Karolina przez wszystkich podziwiana! Arystokracja mediolańska odmówiła jednak swego udziału w powitaniu wicekróla i Maksymilian, czytając nazajutrz raporty policji, zdaje sobie sprawę z trudności, jakie go czekają w tym kraju.

Karolina nie wie o niczym, jej upojenie jest pełne egzaltacji:

„Jak dotąd żaden cień nie padł jeszcze na obraz naszego życia; wiem dobrze, iż na tym ziemskim padole nie wszystko jest usłane różami, lecz te chwile, które przeżywam teraz, pozostaną mi na zawsze drogim i słodkim wspomnieniem absolutnego szczęścia!"

Następuje przejazd przez wszystkie miasta południowych prowincji włoskich. Triumfalne wjazdy, powitalne przemówienia, przyjęcia, hymny narodowe, wzbudzające podziw bale; chwile błogiego odpoczynku w pięknych rezydencjah, wśród egzotycznej roślinności, mieniącej się tysiącem barw upojnie pachnących kwiatów.

Młodzi małżonkowie spędzają czarowny miesiąc miodowy w olbrzymim pałacu Monzy, o rozległym kwadratowym dziedzińcu, okolonym pilastrami, w Villi Reale, tonącej w złocistym listowiu mediolańskiego parku, w posiadłości arcyksięcia Renier nad brzegiem jeziora Como, w walenckim pałacu na lagunach.

Leopold I odwiedził młodą parę w maju 1858 r. i powrócił do Belgii z jak najlepszym wrażeniem. Horyzont jest co prawda nieco zaciemniony przez idotyczną administrację wiedeńską, reprezentowaną przez niezrozumiałego Giuliay'a, lecz jakże słodko jest panować, jak rozkosznie poświęcać się dla dobra innych, pełnić wspaniałą misję, przekazan aprzez przodków, marzyć o rzecywistej władzy w państwie, w którym panująca para mogłaby wykazać wielkość swego związku, łączącego dostojną tradycję Habsburgów z młodzieńczą inicjatywą Sas - Koburgów!

Wielki Boże, życie nie składa się wszak tylko ze szczęśliwych, radosnych, pełnych jednostajnego spokoju małomieszczańskich dni; kiedy w żyłach płynie błękitna krew, trzeba dążyć do wielkiego ideału dynastycznego, trzeba przezwyciężać los, trzeba pamiętać o swych parantelach i związkach!

Marzenia o wielkości, o potędze władców Europy, o królestwie, w którym Maksymilian mógłby dokonywać czynów bohaterskich, wciąż snuje młoda królowa. Wkrótce jednak przywołuje ją do smutnej rzeczywistości ponura wiadomość o zaburzeniach w prowincjach włoskich, wywołanych niezręcznymi posunięciami generała Giuliay'a.

Młoda para coraz częściej żyje już tylko wspomnieniami i nadzieją. Nadzieją, podtrzymywaną przez królową Anglii i jej dyplomatów, wysuwających kandydaturę arcyksięcia Maksymiliana do tronu węgierskiego.

W kwietniu 1859 r. po podróży do Wiednia, gdzie Maksymilian był bardzo źle przyjęty, rozpętała się ostra krytyka jego rządów. Administracja centralna oskarża wicekróla o niesłychaną słabość, o zbyt daleko idący liberalizm, utrudniający sytuację. Maksymilian wie jednak dobrze, iż uczynił wszystko, a nawet więcej, niż to było w jego mocy; mimo to zarząd nad prowincjami włoskimi spotyka się z ogólnym potępieniem. Przygnębiony wicekról pisze do swej matki:

„Jestem wyszydzonym prorokiem, który musi naprawiać zło, na jakie wskazywał w swych proroctwach wygłaszanych przed niechcącymi słuchać, głuchymi ludźmi, i przeciw któremu teraz, by ukryć prawdziwe przyczyny zła, rozgłasza się na wszystkie strony świata, iż to on właśnie spowodował klęskę przez swe niewłaściwe postępowanie i dobrotliwą łagodność".

A klęska już się zbliża. Sytuacja staje się tak poważna, iż Karolina przebywa samotnie w Miramar, podczas gdy jej małżonek czuwa u steru, w przeczuciu zbliżającej się wojny.

27 kwietnia 1860 r. około 200.000 Austriaków przekracza rzekę Ticino, pod dowództwem generała Giuliaya, który został mianowany wicekrólem kólestwa Lombardii i Walencji. Maksymilian, obsypany na pożegnanie kwiatami, odjeżdża, by objąć dowództwo floty adriatyckiej.

Austria zostaje pobita pod Magentą i Solferino. Ex-wicekról przebywa w Miramar, rozmyślając o swym upadku, i błędach swego brata, o niezręcznych posunięciach generała Giuliay'a. Dwór wiedeński czyni Maksymiliana odpowiedzialnym za wszystko co zaszło i arcyksiążę smętnie duma o tym, iż los okrutnie z niego zadrwił. Pragnąłby wziąć odwet za tę niesprawiedliwość, pragnąłby okazać się prawdziwym Habsburgiem, pragnąłby dowieść o tym głupcom z Wiednia, iż właśnie jego postępowanie było racjonalne i stokroć przewyższające ich płytkie, nielogiczne plany. Jakież to nieszczęście urodzić się Habsburgiem z taką inicjatywą i takimi niedocenionymi wartościami duchowymi, których nie można wykorzystać tylko dlatego, że się nie jest pierworodnym synem.

Wyobraźnia Karoliny snuje również niespełnione marzenia o władzy. Wieczorami, po długim dniu melancholii, gdy już odbyli wspólny spacer w przepięknym parku, otaczającym pałac w Miramar, gdy Maksymilian ukończył malowanie akwarel i pisanie wierszy, gdy Karolina spędziła czas na pielęgnowaniu swych kwiatów, grze fortepianowej i pisaniu listu do hrabiny de Grunne, małżonkowie spotykają się na tarasie. W dali lśni morze łagodnym błękitem stapiającym się z linią horyzontu z szafirem nieba. Karolina patrzy z bezgraniczną miłością i tkliwym współczuciem na swego męża, wyczuwając straszliwą pustkę, która napawa arcyksięcia beznadziejnym zwątpieniem, goryczą, smutkiem. Nie pada ani jedno słowo żalu, lecz to głuche milczenie mówi wiele o nastroju Maksymiliana.

A przecież świat jest taki piękny; ostatnie róże cicho opadają w parku pod podmuchem palącego sirocco; dęby i magnolie zielenią się łagodnym kolorytem; wyspa Lacroma rysuje się szaro-zielonymi barwami, drzewa pomarańczowe, cytrynowe i oliwkowe oraz cała flora otaczająca skały mieni się tonami egzotycznej roślinności. Niestety! Miramar stał się dla młodych małżonków więzieniem, wciśniętym między morze i skały, miejscem wygnania, zabijającym śmiertelną nudą i jednostajnością.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

BOGDAN LEKSZYCKI

TAJEMNICA INŻ. SOMMERSONNE'A

— Broń Boże, broń Boże! — wykrzyknął nienaturalnie szybko. — To były weksle klientowskie, handlowe, grzecznościowe... Każdy kupiec przecież... Skąd jabym wziął tyle pieniędzy?...

— Straty pańskie zatem?

— Najmniej pół miliona złotych, najmniej! — wykrztusił jubiler, zgrzytając zębami.

— To pan jednak jest bogatym człowiekiem, panie Rosenberg...

— Nu, biedny nie byłem. Kto to mówił?...

Kierownik popatrzył chwilę w wyłupiaste oczy jubilera, któremu zrobiło się bardzo, bardzo nieprzyjemnie.

— Dlaczego ten paskudnik tak patrzy? — pomyślał — Czy ja kogo okradłem, czy mnie okradziono, psiakrew?

— Idziemy na miejsce! — rzekł podkomisarz do swego zastępcy. — Oczywiście zabieramy Filka.

Jubiler, dreptając na swych krótkich nogach za funkcjonariuszami policji, intensywnie rozmyślał, czy w magazynie nie ma czegoś takiego, co by mogło mu zaszkodzić, gdyby padło na to spojrzenie niepowołanych oczu. Ale uspokoił się wkrótce.

— Tego to oni nie znajdą, bo tam nie trafią! — zakończył swe rozważania.

Kierownik, zażądawszy lupy od wywiadowcy Filka, badał odciski palców, pozostawione na drzwiczkach kasy.

Już po upływie paru minut wyprostował się i rzekł do starszego przodownika:

— Odciski palców Pauliny Staszowskiej! Jeszcze jedno potwierdzenie absurdu! Przyznam się, że zaczyna mi to działać na nerwy...

Czoło jego pokryło się głębokimi zmarszczkami namysłu.

— Jedynym logicznym rozwiązaniem tej zagadki byłoby domniemanie, że Staszowska nie umarła...

— Ależ panie komisarzu, kilku lekarzy ponad wszelką wątpliwość stwierdziło zgon wskutek udaru serca!

— Przyzna pan jednak, że zniknięcie bez śladu zwłok i obecne ślady palców dziwnie wiążą się z sobą. Cuda podobno nie istnieją... Chociaż ów trupi odór, owo błyszczące podniebienie i ta cała sztywność kończyn i postaci... Najlepszy aktor zdradzi się i zegnie mimo woli rękę, lub nogę. I ten tupet, ta pewność siebie, obojętność na niebezpieczeństwo schwytania, grożące każdej chwili! Staszowska była zwyczajną złodziejką, kradnącą na „szopenfeld"... Nie, coś tu jest nie w porządku. I ta jedynie logiczna hipoteza upada...

W tej chwili starszy przodownik wskazał swemu przełożonemu Rosenberga, który przerażonym wzrokiem spojrzał na dwie niewielkie skrzynie, stojące pod ścianą, a potem na policjantów. Zauważywszy jednak ciążący na nim ich zaciekawiony wzrok, momentalnie przyoblekł twarz w maskę obojętności. Ale kierownik nie dał się zbić z tropu.

— Co tam jest, panie Rosenberg? — zapytał niby obojętnie.

— Gdzie, panie komisarzu?

— No, tam, w tych dwóch skrzyniach...

— Tam? Iii... to takie sobie imitacje... Tandetny towar dla takich pań, co to mają mało pieniędzy, a chciałyby pokazać się w pięknych klejnotach...

— Oo, tak? Pokaż mi je pan, panie Rosenberg. Ciekaw jestem jak wyglądają takie imitacje.

— Z całą przyjemnością, ale czy pan komisarz nie zechciałby pofatygować się jutro rano, albo dziś wieczorem? To trzeba rozpakować, tu pełno kurzu, śmiecia, a mój wspólnik chciałby być przy rozpakowywaniu... To taki trochę niewierny Tomcio... Potem on by powiedział, że ja coś zamieniłem na gorsze. Pan komisarz jego zna... Taki chudy, wysoki, rudy, on trochę handluje z dolarami, trochę z biżuterią, trochę z manufakturą, ot, aby żyć, bo dziś ciężki czas, pan komisarz sam wie...

— Ja muszę teraz obejrzeć te imitacje! — rzekł stanowczo i jubiler zrozumiał, że żadne wykręty nic tu nie pomogą.

Zupełnie zrezygnowany odbił wieka skrzynek przy pomocy siekierki i milcząc, oczekiwał ,co dalej nastąpi.

Kierownik ujął w rękę tekturowe pudełko z niemieckimi napisami. Zawierało tombakowe pierścionki.

— Aj, aj, panie Rosenberg, skąd pan ma tyle przemycanego towaru?...

Jubiler machnął ręką.

— Cobym nie powiedział, tak i tak zapłacę grzywnę... Szkoda gadać!

Funkcjonariusze urzędu celnego, zaalarmowani przez komisarza, stwierdzili przemyt i skierowali sprawę do sądu. Na majątku Rosenberga zabezpieczono ponadto tak kolosalną grzywnę, że zmuszony był zamknąć swój magazyn jubilerski.

Przez parę dni nie mógł zrozumieć, w jaki sposób owe dwie skrzynie przemytu znalazły się w sklepie, skoro sam ulokował je w pewnym doskonale ukrytym schowanku. W końcu zrozumiał, ale obawiał się nawet myśleć o tym. Trząsł się cały z przerażenia.

Cóżby dała policja, gdyby wiedziała to, co wiedział zrujnowany Rosenberg!

IX.

IRY

Irena Warecka siedziała na maleńkiej sofce w swym jasnym buduarze i uśmiechała się.

Piękne, niezwykle piękne oczy koloru najciemniejszych szmaragdów, błyszczały ożywieniem, a mała, wypielęgnowana rączka przesuwała się pieszczotliwym ruchem po gładkiej sierści leżącego obok niej białego pieska bolońskiego.

Za chwilę miał przyjść on, Janek, jej ukochany Janek, 23-letni młodzieniec, podwładny jej ojcu, naczelnego dyrektora wielkich zakładów metalurgicznych. Janek, marzyciel, pozujący na świetnego kryminologa, amator rozwiązywania zagadek przestępczych.

Dlaczego ona, Irena, kochała Janka? Nie zastanawiała się nad tym, a przecież pierwszym i jedynym motywem tego uwielbienia była właśnie owa tajemniczość młodzieńca, owo amatorstwo niesamowitości, które musiało działać na tak młodą dziewczynę — Irena miała niespełna 19 lat — i zwrócić jej uwagę na osobę tego laika wywiadu, teoretycznie rozwiązującego jednak od czasu do czasu zagadki kryminalne, nim praktycznie rozwiązała je policja.

Upływały kwadranse i piękna dziewczyna zaczęła się niecierpliwić. Zmierzch rozpościerał się zwolna w jasnym buduarze, a szare macki mroku zagarniały zwolna sprzęty, obrazy, obicia.

Janek nie przychodził...

Purpurowe georginie w wazonie, ukrytym w starożytnej wazie etruskiej, stojącej na figlarnym biureczku z różanego drzewa, poczęły zlewać się w całość, upodobniając się coraz bardziej do zarysów jakiejś potwornej głowy o zapadłych policzkach, wąskich ustach i długim, wychudłym nosie. Do głowy w czarnym kapeluszu o szerokich kresach...

Dziewczyna wpatrywała się w tę głowę rozszerzonymi z lęku oczami. Strach, dziwny, niewytłumaczony strach przygważdżał jej małe nóżki do puszystego perskiego dywanu...

Wąskie, wyschłe wargi głowy rozszerzają się w śmiechu, potwornym, szyderczym... Śmiech ten Irena słyszy, wibruje w różo-

wych konchach jej uszu, rozlega się w całym domu...

— Nie, nie, to przecież śmieje się Hilda, kucharka, to jej śmiech, chrypliwy, nieprzyjemny...

Dziewczyna zdobywa się na odwagę i wyciąga drżącą rączkę. Naturalnie, to tylko bukiet dalii; czuje pod palcami chłodne, aksamitne płatki. Nie powinna czytać w gazetach o tym poczwarnym — boi się wymienić makabryczną nazwę — tym strasznym... A jednak Janek na pewno rad będzie, gdy powie mu, że czytała wszystko, rad będzie, gdy zapyta go, co o tym myśli...

Staroświecki zegar wydzwania zwolna godzinę piątą. Ciche jego i łagodne zazwyczaj dźwięki krają dziś ciszę jak nożem.

Jak wcześnie zapada zmierzch!... Boże, czemu ten Janek jeszcze nie przychodzi? I ten Pepi śpi i śpi wiecznie...

— Pepi, Pepi!... — trąca psiaka paluszkiem.

Ale bolończyk mruczy tylko przez sen i nie porusza się nawet.

— Czego chcą od niego? Ciepło mu tu, wygodnie przy młodej pani... Czego chcą?

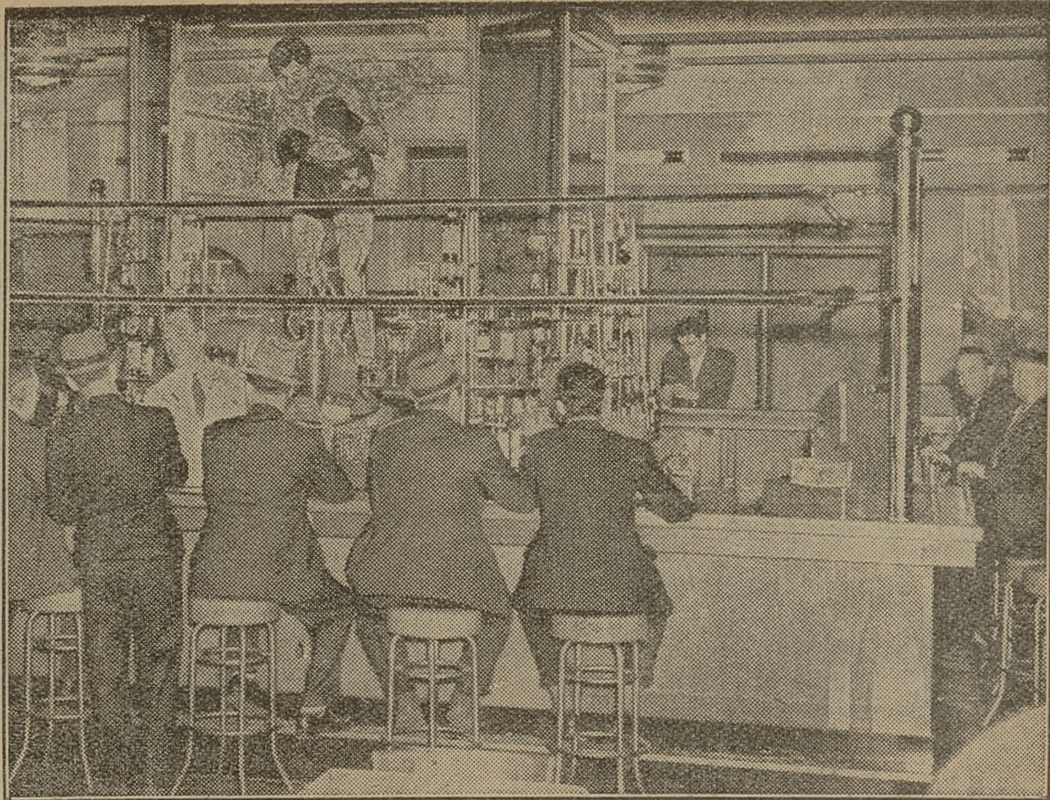
Wciska jeszcze głębiej nos między miękkie łapki.

Dziewczyna wzdycha. Spogląda znów na georginie. Ale głowy już nie ma. Jest tylko czarna, niewyraźna plama.

Jakieś światełko przedarło się skądś z ulicy poprzez ogołocone z liści gałęzie drzew ogrodowych i skacze po ścianach. Tu, tam, tu, tam. Wreszcie zatrzymuje się na lustrzanej tafli toaletki.

Niepokój ogarnia Irenę. Jaka cisza! Nawet wiatr, który przed chwilą uderzał w okno obumarłymi pnączami winorośli, ucichł nagle. Ten Janek, ten Janek, dlaczego on nie nadchodzi?...

Przed godziną rada była, że ojciec jej wyjechał na kilka dni do Warszawy. Rada była, bo Janek, który jako najmłodszy urzędnik w biurze, dostał urlop dopiero od połowy listopada, będzie mógł przychodzić do niej codziennie o zmroku. Rada była, bo lubiła te chwile, gdy, siedząc tuż przy sobie, słuchali wzajemnie swoich rozważań na temat różnych strasznych tajemnic...



Były mistrz świata w boksie, Braddock, otworzył bar, w którym mistrz ku uciesze gości popisuje się na ringu

Jeszcze przed godziną Irena rada była, że ojciec wyjechał, a teraz chciałaby, by znalazł się tu przy niej. Tak jakoś straszno...

Mogła wprawdzie wstać z fotela i przekręcić taster. Światło rozproszyłoby jej niepokój. Mogła także nacisnąć guzik dzwonka w sąsiednim pokoju. Przybiegłaby panna służąca.

Ale myśl, że musiałaby przejść kilka kroków w tym czarnym, dziwnym mroku, zatrzymała ją w fotelu.

Dławiące uczucia trwogi opanowywało dziewczynę. Zimne palce lęku prześlizgiwały się po jej białych plecach i poprzez toczone ramiona spływały do dłoni, splecionych z sobą i zaciśniętych kurczowo.

Naraz gdzieś w dali, na początku długiej amfilady dyrektorskich pokoi, dał się słyszeć odgłos kroków:

Raz, dwa... raz, dwa...

— To on, to Janek! — szepnęła radośnie dziewczyna.

Wsłuchiwała się w owe kroki.

Raz, dwa... raz, dwa...

— To nie on... — szepnęła znów i nowa fala lęku zmroziła jej ciało.

Kroki były wolne, ciężkie. Skrzypiała pod nimi dębowa posadzka.

Raz, dwa... raz, dwa...

Zbliżały się. Mały bolończyk usłyszał je także, podniósł się bowiem z sofki, otrząsnął i zeskoczył na dywan. Jego gładka sierść zjeżyła się na grzbiecie.

Zawarczał, ale jakoś lękliwie, trwożnie. I począł cofać się tyłem, drżąc na całym ciele.

Raz, dwa... raz, dwa...

Kroki były tuż, tuż. Dziewczyna zsunęła się z fotela i błyskawicznie skoczyła pod biureczko. Skulona, nie śmiejąc nawet oddychać, słuchała...

Raz, dwa... raz, dwa...

Kroki ucichły w progu.

Biały bolończyk podniósł w górę pyszczek i zawył, przeciągle, rozpaczliwie...

X.

SZPIEG PRZEMYSŁOWY

Irena, drżąca cała, spojrzała mimo woli zza swego ukrycia. Ujrzała to, czego się spodziewała. Długi, czarny płaszcz gumowy i wielkie nożyska... Straszliwy Trup...

Mimo, że wiedziała, co zobaczy, zdjął ją obłędny lęk. Drętwiała z przerażenia, nie śmiejąc się poruszyć. Serce waliło w jej piersiach setką młotów.

Zjawa wciąż stała w progu, a mały bolończyk wył ,wył...

Nagle wśród amfirady pokoi rozległ się donośny głos:

— Iry, nie lękaj się! Idę na pomoc!

Był to głos Janka, głos przepojony dumną zuchwałością.

Pełna otuchy spojrzała znów na próg. Straszliwy Trup zniknął.

Teraz dopiero usłyszała Irena oddalające się kroki.

Raz ,dwa... raz, dwa... raz, dwa...

Były ciężkie jak przedtem, ale szybkie.

I zaraz tupot nóg, mocny, pewny siebie. To Jak... Wyskoczyła spod biurka i stanęła za fotelem, tłumiąc rękami gwałtowne bicie serca.

W drzwiach stanął młodzieniec. Przekręcił taster i snopy światła elektrycznego zalały buduar. Irena zasłoniła oczy rękami.

— Bardzo lękałaś się, Iry?... — zapytał blady ze wzburzenia i emocji.

— O, tak... — odparła szczerze — Bardzo... Ale...

— Ale ,najdroższa ?

— Dlaczego tak długo nie przychodziłeś?...

Z wyrzutem patrzyła w jego oczy.

— Byłem już w bramie, gdy nagle ujrzałem w pewnej odległości ciemno -zielonego Chrystera. Nie miałem wątpliwości, że to ten sam samochód, którym wczoraj przed południem przyjechał Straszliwy Trup przed magazyn jubilerski Rosenberga. W całej willi panowała ciemność, w



Ćwiczenia z obrony przeciwlotniczej w Belgii.

kuchni tylko paliło się światło. W korytarzy dojrzałem potwora, szedł swoim sztywnym krokiem, jakby znał każdy zakamarek. Potem otworzył drzwi gabinetu twego ojca i poszedł do kasy. Śledziłem go cały czas. Wreszcie ruszył przez galerię pokoi w stronę twego buduaru. Wtedy usłyszałem wycie Pepi i nabijając rewolwer, który był nienaładowany, zawołałem, by dodać ci otuchy. Ale potwór cofnął się i przepadł gdzieś. I oto jestem tu...

Podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Och, Janku, Janku...

— Nie lękaj się maleńka. To już minęło...

— Nie ,to nie minęło, Janku... Ja to czuję, ja wiem, że jeszcze przeżyjemy niejedną straszną chwilę...

Głos dziewczyny, zwykle o dziwnym, aksamitnym timbre, był jakiś matowy, głuchy.

Objął ją ramieniem, nie mówiąc nic. Na cóż dadzą się próżne słowa, skoro sam czuł, że dziewczyna ma rację...

I naraz odsunął ją od siebie, bo oto z głębi mieszkania dobiegł go głos szybkich kroków kilku par nóg. W tej samej chwili równocześnie zapłynęły wszystkie żyrandole w poszczególnych pokojach.

Nim Jan zdał sobie sprawę, co się stało, w drzwiach ukazał się mundur oficera policji.

— Panna Warecka, prawda? Proszę nie niepokoić się, szukamy złodzieja, który zakradł się tu...

Był to kierownik brygady kryminalnej. Otrzymał telefoniczne zawiadomienie, że przed willą dyrektora Wareckiego stoi ciemno-zielony Chrysler, bez szofera i bez numeru. Wiedział, co myśleć o tym, toteż natychmiast przyjechał na miejsce z kilkoma wywiadowcami.

Ale ciemno -zielona limuzyna, do której alarmujący policjant celowo nie podchodził, by nie spłoszyć Straszliwego Trupa, niewątpliwie znajdującego się wewnątrz willi, odjechała nagle pełnym gazem, gdy automobil policyjny ukazał się na zakręcie ulicy. Odjechała, chociaż nie posiadała szofera...

Posterunkowy nr. 341, gdyż on był owym policjantem, stał jak wryty, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia. Dopiero głos podkomisarza wyrwał go z osłupienia.

— Gdzie ten Chrysler? — zapytał szorstko.

— Odjechał, chociaż nikt go nie prowadził, panie komisarzu...

— Znowu cudowności, co? — warknął kierownik. — Jak wtedy, nieprawdaż... A ten Straszliwy Trup, jak go ochrzciły gazeciska?...

— Został w willi, bo samochód odjechał pusty...

Podkomisarz mełł już w ustach uszczypliwy epitet, ale pohamował się. W rezultacie cóż winien posterunkowy, skoro wszystkie okoliczności są tak dziwaczne i niesamowite, i skoro nawet on sam, on, który...

Machnął ręką i zostawiwszy paru ludzi, którzy mieli strzec muru okalającego ogród willi, wbiegł do wnętrza.

Ale poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Piwnice, parter, piętro, strychy, ogród — ani śladu.

A w gabinecie kasa, nieuszkodzona, otwarta kluczem jak u inżyniera Kulickiego, jak u Rosenberga ,choć dyrektor Warecki bawił w Warszawie i niewątpliwie zabrał klucze z sobą...

Kasa wypróżniona, a na drzwiczkach odciski palców Pauliny Staszowskiej, zmarłej przed trzema laty...

Kierownik, wzburzony i poruszony do żywego, zobaczył nagle w mrocznym wnętrzu pancernego schówka niewielką kasetkę. Wyciągnął ją. Była otwarta. Wewnątrz znajdowały się cztery arkusze papieru, zapisane drobnym pismem.

Podkomisarz zbliżył arkusze do oczu i zadrżał.

— Szyfr! Szyfr dobrze mu znany, szyfr, przy którego pomocy przesyłano Niemcom raporty o stanie naszego przemysłu, o nowych wynalazkach w dziedzinie metalurgii... Znał szyfr, ale nigdy nie mógł przyłapać raportów, ani zdemaskować szpiega.

Okazało się, że owym niebezpiecznym szpiegiem przemysłowym był dyrektor Warecki, bogacz o olbrzymich stosunkach, jedna z najgrubszych ryb w przemyśle...

Kierownik brygady kryminalnej pokiwał głową i roześmiał się trochę sztucznie.

Na drugi dzień dyrektor Warecki aresztowany został w Warszawie i przewieziony do więzienia w Sosnowcu, a cały jego majątek obłożony został sekwestrem.

XI.

CIEMNO - ZIELONY CHRYSLER

— Dlaczego... dlaczego opieczętowano gabinet ojca?... — spytała Irena, a serce jej ścisnęło się przeczuciem jakiegoś nieszczęścia.

— Nie wiem, maleńka... — odszepnął, nie patrząc w jej oczy, intuicyjnie bowiem wyczuwał, że dyrektor Warecki zaplątany jest w jakąś kompromitującą aferę. Przecież i inżynier... przecież i jubiler... Dwa skandale, a tu, w bogatej willi, trzeci... Jaki? Kim jest straszliwy Trup, a raczej kto nim kieruje? Bo Jan czuł, że za tą poczwarną zjawą ukrywa się ktoś złowrogi, chytry jak szatan, przewidujący jak przeznaczenie... Ciemno-zielony Chrysler bez szofera... Kulicki — Rosenberg — Warecki, dziwny trójkąt. Czy tych ludzi łączyło co z sobą? Co łączyło? Czy jakieś łajdactwa? I czy łajdactwa te sprowadziły zemstę Straszliwego Trupa?... Trupa... Pauliny Staszewskiej, której ciało zniknęło w tajemniczych okolicznościach przed trzema laty...

Ujął zimne ręce Ireny i przycisnął je do rozpalonego czoła.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



J. 6126. Letnia sukienka dla małej dziewczynki z różowego batystu. Haft w kolorze czarnym.

J. 6127. Śliczna sukienka z kwiecistego woalu. Karczek, szarfa oraz obszycie u dołu również z woalu, w kolorze białym lub innym jednokolorowym.

J. 6078. Sukienka z ładnej, deseniowej georgetty, o niezwykle miłym kroju. Wdzięcznej całości dopełniają trzy różyczki, odpowiednie kolorem do barwy deseniu.

Kroje powyższe (Lyona) można otrzymać w naszej administracji w cenie 1,40 zł za sztukę. Należność prosimy przekazać za pośrednictwem blankietu P. K. O. nr. 201477.

Apetyt u dzieci

Słyszymy nieustannie o wielkich utrapieniach nowoczesnych matek: dzieci nie mają apetytu. Co to za męka z takimi dziećmi! Matka była by skłonna do największych ofiar, aby więcej jadły, ale wszelkie „środki na apetyt" zawodzą. Dzieci blade, anemiczne, znudzone, „zdenerwowane" ledwo mogą przełknąć mały kęsek na obiad czy kolację.

Zdarzają się „brutalni" lekarze, którzy mówią mamusi poprostu:

— Łaskawa pani! Pytałem pociechy i dowiedziałem się, że pani ma zbyt dobre serduszko. Nigdy nie odmawia pani ich kaprysom. Przed samym obiadem grymasi dziecko o czekoladę, i jakże odmówić? Daje się. I po tym to wchodzi w nałóg. Cały dzień po odrobineczce: a to cukierek mentolowy „na kaszel", a to ulubioną babeczkę śmietankową, — w lecie lody, w zimie faworki i pączki itd. Wyrzucić to wszystko, łaskawa pani. Ani na ząb żadnych przysmaków. 4 razy dziennie posiłek, a wszelkie przysmaki tylko na deser, po niewielkiej porcji po śniadaniu, kolacji czy obiedzie. Żeby się mury waliły — ani kruszynki między jednym jedzeniem, a drugim. I jeszcze dziateczki na dobry spacerek. Aż do zmęczenia. I to codzień. Zobaczy pani, jaki będą miały apetyt. Uszy im się będą trzęsły!

I rację ma taki lekarz — chociaż niejedna matka oburza się, że prawi jej morały, „a przecież jest tylko od tego, aby zbadać dziecko, zapisać receptę i koniec!"

Warto przy tej okazji przypomnieć, jakie ilości pokarmu potrzebne są dziecku. Dla przykładu weźmy dziecko 6-cio lub 7-mioletnie. Takie dziecko było by dobrze odżywione, gdyby dziennie dostało półtora litra mleka, 50 g masła i 100 g chleba. Pokarmy te w zimie mają 1600 koloryj, a więc pokrywają w zupełności zapotrzebowanie dziecka 7-mioletniego. Oczywiście nie należy dziecka 7-mioletniego w ten sposób odżywiać, bo pożywienie musi być nie tylko dostateczne pod względem wartości kalorycznej, ale musi zawierać odpowiednią ilość soli i witamin. Przytaczam tylko ten przykład dla matek, które martwią się, że ich dzieci źle jedzą, podczas gdy często raczej się przejadają.

Jeśli bowiem każemy matce wyliczyć, co dziecko przez cały dzień jada, to okazuje się, że wartość kaloryczna pokarmów jest dostateczna.

Ważnym czynnikiem, wpływającym na wywołanie normalnego apetytu u dziecka jest ruch na świeżym powietrzu — codzienny i systematyczny. A więc niezależnie od tego, czy jest pochmurno, zimno, wietrzno zdrowe dziecko codziennie powinno najmniej dwie godziny spędzić w ruchu na świeżym powietrzu. Wiele matek trzyma dzieci zimą w pokojach gorących, dusznych, twierdząc, że „ile razy dziecko wyjdzie na powietrze, tyle razy się przeziębia". „A gdy jest mgła, spacer przyprawi dziecko o chorobę". Nic dziwnego. Cały błąd tkwi w tym, że w pokoju jest zwykle nieodpowiednia dla dziecka temperatura: albo zbyt ciepła albo zbyt sucha (zwłaszcza przy centralnym ogrzewaniu, gdy nie dbamy o odpowiednie uwilgotnienie powietrza) i gdy dziecko wychodzi na dwór, otacza je nagła zmiana atmosfery.

Pamiętajmy jednak, że przesada w ćwiczeniach fizycznych, a nawet i w zabawie na świeżym powietrzu może się odbić na apetycie dziecka. Często matce wygodniej jest, gdy dziecko jak najdłużej bawi się poza domem, w ogródku lub na podwórzu, a na kilka minut przed posiłkiem każe mu ona wrócić do domu, aby umyło ręce i jadło obiad czy kolację. Dziecko zmęczone zabawą grymasi, lub też przegłodzone — zaczyna jeść zbyt szybko, połknie kilka zbyt dużych kęsów i chce wstać od stołu, gdyż jest podniecone i nie odczuwa przyjemności w spożywaniu posiłku. Gdy wchodzi to w stan chroniczny, dziecko traci apetyt i nie trawiąc prawidłowo, zapada na różne choroby żołądkowe.

Jak temu zaradzić? Przede wszystkim kazać dziecku przerwać zabawę na 15 — 20 minut przed posiłkiem, aby uspokoiło się i wypoczęło.

Nie należy też dawać dzieciom kolacji zbyt późno, razem ze starszymi. Dziecko zmęczone i senne nie ma apetytu, nie kończy kolacji i idzie spać nie dość posilone, aby rano obudzić się zbyt wcześnie z głodu i znów, kapryszac, zasiąść do śniadania.

Często skarżymy się, że dziecko nie ma apetytu i nieledwie mamy o to żal do niego, a nie pomyślimy o tym, że same jesteśmy tego przyczyną. Jakto? A tak. Nie dbamy o to, by potrawy były dziecku podane estetycznie. Ileż to razy widziałam maleństwo 4, 5, 6-cioletnie nad dużym talerzem, pełnym kaszki czy szpinaku. Sama ilość tej potrawy musiała odbierać apetyt. Dziecko chętniej spożyje małą porcyjkę z małego talerzyka, powtórzoną raz i drugi, niż tę samą ilość z dużego talerza, „za zdrowie mamusi" lub pod innym pretekstem, równie niepedagogicznym. Nie zdajemy sobie najczęściej sprawy z tego, jak ważnym czynnikiem pobudzania apetytu jest podawane dzieciom pokarmu na ulubionych talerzykach lub w ulubionych kubkach, barwnie malowanych.

I to jeszcze wiedzieć trzeba, że pokarmy o nieładnym wyglądzie, niestarannie ugotowane i jak bądź podane, mają mniejszą wartość odżywczą, bo śliny, a co za tym idzie i soki trawienie, przestają wydzielać się w miarę jedzenia takich potraw, zawsze brak apetytu opóźnia trawienie najłatwiej nawet strawnych pokarmów, sprowadzić może fermentowanie ich gnicie, wywołując poważne nieraz zaburzenia w przewodzie pokarmowym.

Najlepszym wskaźnikiem zdrowia dziecka jest jego waga

Każda matka, dbająca naprawdę o zdrowie i rozwój dziecka — winna ważyć dziecko raz na tydzień a przynajmniej raz na dwa tygodnie, sprawdzając w ten sposób, czy dziecko rośnie, czy przybywa na wadze tak, jak powinno.

Dziecko nowonarodzone waży przeciętnie 3 do 3 i pół kg, choć są dzieci wyjątkowo duże, ważące do 5 kg i więcej.

Waga dziecka w jeden do dwu dni po urodzeniu zmniejsza się o pół kg. (200 gr.) Spadek ten wyrównuje się do 10 dni i dziecko waży tyle, ile po urodzeniu. W pierwszych 2-ch miesiącach życia waga dziecka zwiększa się przeciętnie o 200 gr. na tydzień, w trzecim miesiącu o 200 gr. W następnych miesiącach przyrost jest stosunkowo mniejszy — w końcu szóstego miesiąca dziecko waży dwa razy, a w końcu roku trzy razy więcej niż po przyjściu na świat. Jeśli matka po zważeniu widzi, że dziecko normalnie na wadze nie przybywa, trzeba koniecznie poradzić się lekarza. Nie można zapominać, że niemowlę nie umie powiedzieć co mu jest, matka zaś, patrząc tylko na dziecko, nie jest w stanie stwierdzić, czy dziecku czegoś brakuje. Waga wskazuje jej nieomylnie to, czego oko nie spostrzega.

DOBRA GOSPODYNI

Zupa jarzynowa. Posiekane 2 duże cebule, 3 marchwie pokrajane w cieńkie paski, kawałek selera i pietruszkę poddusić w maśle z łyżką oliwy, oprószyć mąką, wymieszać i zalać wodą. Włożyć pokrajane w kostkę sparzone ziemniaki, osolić i gotować. Przy podaniu na stół, wrzucić do zupy szczyptę zielonej, siekanej pietruszki.

Zupa z kalafiorów. Dwa ładne kalafiory oczyścić, pokrajać i ugotować w słonej wodzie. Gdy miękkie wybrać kilka najbielszych kawałków i włożyć do wazy, a resztę przetrzeć przez sito; dodać łyżkę mąki, zasmażonej z masłem, rozprowadzić rosołem, zagotować i po przecedzeniu zaprawić 2 żółtkami, rozbitymi w śmietance. Podać grzanki z bułki.

Zupa ze świeżych ogórków. Pięć niedużych, świeżych ogórków, po obraniu ze skórki, pokrajać w

plasterki i dusić z kawałkiem masła, na wolnym ogniu, aż zmiękną. Ugotować półtora litra smaku z włoszczyzny, przecedzić go, uduszone ogórki przetrzeć przez sito. Łyżkę masła utrzeć dobrze z łyżką mąki, rozprowadzić szklanką słodkiej śmietanki, dodać do zupy i raz zagotować. W wazie przygotować dwa żółtka, roztarte z łyżeczką masła — i łyżeczką drobno usiekanego koperku i wlać na to wazową łyżkę zupy, zmieszać i nalać resztę zupy. Podajemy ją z pasztecikami z ryżem i jajami w cieście kruchym lub francuskim.

Zupa z porów. Na sześć osób wziąć sześć dużych porów, obrać je z korzeni, sparzyć gorącą wodą — pokrajać razem z zieloną łodygą na cienkie plasterki nalać wodą i gotować pół godziny, kładąc w czasie gotowania kawałek masła. Gdy pory się rozgotują, zaprawić łyżką masła z odrobiną mąki i zagotować. Zupę tę można podać przecedzoną lub nie — z grzankami, posmarowanymi masłem i posypanymi tartym parmezanem.

Savoir vivre

O trochę wdzięku

Wdzięk często więcej znaczy — jeżeli chodzi o dobrą aparycję kobiety — aniżeli uroda. Jeżeli nie mamy go wrodzonego, powinniśmy się starać zdobyć go ile się da najwięcej.

Trzeba umieć patrzeć na siebie. Jak dużo tracimy na przykład na wyglądzie — siedząc.



Przybieramy wtedy pozę zbyt sztywną, wymuszoną lub też zbytnio swobodną, niedbałą. Czasem — robimy znów wrażenie osoby bardzo gnuśnej...

A pomyślmy tylko: jak łatwo można ocenić według pozycji ciała oblicze duszy?

Nie starajmy się przedstawić w fałszywym świetle i... nie zniekształcajmy swych kości.

Przy siedzeniu powinno się odpoczywać. Aby tak było, uważajmy na cztery rzeczy:

1) Górna część ciała nie ma być przez dłuższy czas pochylona do przodu lub na bok, bo cierpią na tym bardzo płuca.

2) Nie nadwyrężajmy przy siedzeniu żadnego muskułu, gdyż traci się w ten sposób dużo energii.

3) Nastawienie potrzebnych do siedzenia muskułów musi być takie, żeby figura robiła wrażenie elastyczne.

4) Przy siadaniu wyróżniajmy niższe sprzęty, gdyż nogi w takiej pozycji stoją wyżej od tułowia, co sprzyja ogólnemu polepszeniu krążenia krwi.

Ze świata

Wyścig do Fata-Morgany

„Berliner Zeitung am. Mittag" donosi o oryginalnym wyścigu dwóch ekspedycji naukowych, duńskiej i norweskiej, do legendarnych wysp Fata Morgana pomiędzy Spitzbergiem a Grenlandią.

Na czele ekspedycji duńskiej stoi znany badacz okolic grenladzkich dr. Lauge-Koch. Ekspedycja norweska prowadzona jest przez Norwega Willie Knutsena oraz Francuza Micarda.

Ekspedycja duńska korzystać będzie w głównej mierze z olbrzymiego niemieckiego wodnopłatowca, typu „Dornier-Wal". Odlot ekspedycji duńskiej nastąpi na Spitzbergen. Trasa lotu prowadzić będzie do wybrzeży grenlandzkich, a następnie do archipelagu Parryego na oceanie Lodowatym i z powrotem do Spitzbergen.

Ogółem trasa tego długodystansowego lotu bez lądowania wyniesie około 2.200 km. Załoga wodnopłatowca ekspedycji duńskiej składać się będzie z 2-ch pilotów, Duńczyka i Niemca, radiotelegrafisty duńskiego oraz mechanika niemieckiego.

Obie ekspedycje, zarówno duńska, jak norweska, podają, jako cel wyprawy, przeprowadzenie badań geologicznych. Poza tym obie ekspedycje interesują się bardzo zagadnieniem tajemniczych wędrówek Eskimosów, którzy przed kilkuset laty z Ameryki przybyli na Grenlandię. Ekspedycja norweska zajmie się prawdopodobnie także zbadaniem możliwości zorganizowania transatlantyckiej komunikacji poprzez Spitzbergen i Grenlandię.

Obie ekspedycje będą usiłowały jedna drugą wyprzedzić, celem zarzucenia flagi swego kraju na wyspach: Fata Morgana, będących celem wyprawy.

Aby być „manekinem" w Niemczech — trzeba mieć... 46 lat

Zakazano niedawno w Niemczech — w obawie o ewentualne „zanieczyszczenie" rasy — zatrudniać służące i pokojówki czy kucharki Żydówki, które nie przekroczyły 46 lat życia. Teraz zaś w trosce o bezpieczeństwo manekinów w domach mody wydano nowe zarządzenie, W Niemczech sporo jest jeszcze takich domów żydowskich, a między pracującymi tam manekinami jest wiele aryjek czystej krwi. A zatem znów zarządzenie: „manekin taki musi mieć najmniej 46 lat..."

Jedna maska gazowa na rodzinę

W ostatnich dniach wyszło w Czechosłowacji ciekawe rozporządzenie. Nakazano mianowicie, że w ciągu miesiąca od ogłoszenia rozporządzenia, każda rodzina będzie się musiała wykazać posiadaniem przynajmniej jednej maski gazowej. Na tym jednak nie koniec, bo w najbliższym czasie ma się ukazać drugie rozporządzenie, w którym zawarte będą polecenia do ogółu ludności, przy czym każdy będzie musiał zaopatrzyć się w maskę. Maski te będą, co pewien czas kontrolowane przez władze wojskowe, podobnie, jak w oddziałach wojskowych, przeprowadza się kontrolę broni.

Jeszcze jedna „śpiąca królewna"

Mary Ellen Reardon, w wieku dwa i pół roku, jest nową ofiarą choroby śpiączki (encephalis). Śpi ona już kilkanaście dni bez przerwy. Rodzice dziecka zawiadomili o tym wypadku oddział medyczny, który orzekł, iż dziecko nigdy nie obudzi się z swego snu.

Nieszczęśliwą dziewczynkę nazwano śpiącą królewną miasta Chicago. Swego czasu taki sam tytuł miała Patrycja Maguire z Oak Park, która spała 5 lat i 7 miesięcy, zanim umarła. Dziecko zapadło w sen po lekkiej chorobie odry. Lekarze są także zdania, iż wszelka próba, by dziecko obudzić, może okazać się fatalną.

Farby z sera

Nikt by nie domyślał się, że ser, smaczny produkt spożywczy, może mieć także inne zastosowanie. Pierwsi wpadli na to Niemcy, którzy w poszukiwaniu surowców zastępczych, chwytają się najróżnorodniejszych sztuczek. Chemicy niemieccy wynaleźli, że kazeina daje doskonały klej, a ostatnio nawet barwniki szczególnie cenne w przemyśle skórzanym. Na rynkach zagranicznych pojawiły się już skóry niemieckie, barwione farbami wyprodukowanymi przy użyciu kazeiny. Skóry te odznaczają się rzekomo nadzwyczajną trwałością. Cała rzecz w tym, że trzeba być dobrym znawcą, by na takiej skórze nie „dostać w skórę". Okazuje się bowiem, że zwykły papier, nasycony barwnikiem kazeinowym, nabiera cech zewnętrznych skóry. — Chemicy niemieccy nie zadawalniając się dotychczasowymi osiągnięciami w dziedzinie zużycia kazeiny, próbują zastąpić barwnikiem kazeinowym farby olejne i to podobno z dużym skutkiem. Jak obliczono, w Niemczech uzyskuje się rocznie przy produkcji masła 11,3 milionów ton odtłuszczonego mleka. które dotychczas było przeważnie dawane świniom, a które, w świetle doświadczeń chemików niemieckich jest pierwszorzędnym artykułem przemysłowym.

Powieść kryminalna jako gimnastyka dla mózgu

Powieści kryminalne mają swych gorących zwolenników, ale także i swych namiętnych wrogów. Często dają się słyszeć głosy, że nie ma głupszych powieści nad przygody Sherlocka Holmesa, Arsena Lupina lub Rouletabille'a. Pod każdym względem — śmiecie, niegodne, aby spoczęło na nich oko człowieka kulturalnego.

Innego zdania są jednak miłośnicy sensacji, którzy z zamiłowaniem rozczytują się w literaturze kryminalnej, śledząc razem z Sherlockiem Holmesem nieuchwytnego przestępcę. Twierdzą oni, że powieści detektywne są takim samym dobrym rodzajem twórczości literackiej, jak każdy inny, tylko bardziej zajmującym. Ostatnio zyskali oni potężnych sprzymierzeńców w osobach... lekarzy, mianowicie angielskich, zebranych na konferencji w Londynie.

Lekarze ci stwierdzili, że w dzisiejszych warunkach życiowych, w okresie ogólnego podniecenia nerwowego i szybkiego tempa pracy, niezwykle ważną staje się kwestia odpoczynku. Organizm ludzki wymaga ciągłego odświeżania i regeneracji. Krótki urlop w porze letniej nie wystarcza, należało by umożliwić każdemu zapracowanemu obywatelowi spędzenie przynajmniej kilkunastu minut dziennie poza kręgiem interesów, za miastem, w górach, lub w lesie. Oczywiście jest to niemożliwe i jako zastępczy środek lekarze zalecają wszystkim... lekturę powieści kryminalnych.

Nic tak — zdaniem uczonych — nie odświeża umysłu, jak rozwiązywanie zagadek policyjnych. Pogoń za mordercą może być świetną gimnastyką myśli, po której człowiek czuje się jak orzeźwiony. Złośliwi, którzy twierdzą, że studiowanie detektywnych „bujd" należy pozostawić chorym lub cierpiącym na bezsenność, nie zdają sobie sprawy z lekarskich walorów lektury pozwalającej człowiekowi choć na chwilę zapomnieć o codziennych troskach i kłopotach.

Że namiętne rozczytywanie się w powieściach sensacyjnych nie jest równoznaczne z niedorozwojem umysłowym, tego dowodzą przykłady zaczerpnięte z historii. Słynny francuski mąż stanu Arystydes Briand przynosił zawsze na posiedzenie Izby Deputowanych książkę kryminalną pod pachą i co chwila zerkał do niej pod pulpitem, gdy sądził, że go nikt nie obserwuje. Głośną była niedawno przygoda pewnej damy, która jadąc pociągiem z Londynu do Birmingham dała głośno wyraz swemu oburzeniu, widząc starszego, eleganckiego pana, który przez cały czas podróży nie oderwał ani na chwilę oczu od niezwykle emocjonującej książki E. Wallace'a pt. „Straszliwy hotel".

Pan ten dopiero wysiadając, przedstawił się jej, jako... Samuel Hoare, członek gabinetu Jego Królewskiej Mości Jerzego VI-go. Także sędziwy Lloyd George, były premier Wielkiej Brytanii nie gardzi książką detektywną, byle intryga była zajmująca.

Kult przodków w Chinach

Dziwnym narodem są Chińczycy i dziwne jest ich życie, osłonięte tajemnicą właściwą ludziom Dalekiego Wschodu, mimo szybkiego wdzierania się kultury, postępu, najnowocześniejszej techniki i wynalazków. W życiu ogółu chińskiego większą rolę od religii odgrywają jeszcze do tej pory najrozmaitsze zabobony, gorliwie uprawiane przez wszystkich kapłanów, astrologów, wróżbitów i przez literatów, którzy wykorzystują je w celach politycznych. Chińczyk uważa za zło, gdy sąsiad jego zbuduje dom wyższy od jego własnego, zakłóca

mu to bowiem pomyślne wpływy, które idą od miasta i pól, ku jego kaplicy domowej. Zdarzają się wypadki niszczenia wysokich murów w najbliższym sąsiedztwie i to nie tylko przez jednostki, ale nawet i masy, gdyż odwraca on prąd dobrych duchów, które na jego grunta napływają.

Według religijnego wyobrażenia Chińczyków, każdy człowiek ma 3 dusze jedna z nich po śmierci przenosi się do krainy cieniów i tam staje przed sądem bóstw mających władzę nad życiem, druga pozostaje przy zwłokach, trzecia wreszcie czuwa nad swym grobem. Chcąc więc uczcić należycie zmarłego, trzeba w porach przepisanych odwiedzać kaplicę przodków, wykonując liczne obrzędy. Kult zmarłych jest niejako kamieniem węgielnym społeczności chińskiej. Każdy szczegół codziennego życia z nim się wiąże i kult ten jest o wiele potężniejszym środkiem utrzymania ludu w jego zabobonach, niż liczne legendy o bóstwach.

Jednym z głównych obowiązków religijnych w życiu Chińczyka są modły błagalne do duchów o przebaczenie wyrządzonych im krzywd.

Sędzia, wydający wyrok śmierci, musi być przygotowany na prześladowanie przez mściwego ducha skazańca i nieraz stara się przebłagać go ofiarami. Charakterystycznym zwyczajem było do niedawna a nawet i dziś się trafia, że człowiek, który pełnił urząd sędziego kryminalnego, nigdy nie mógł być pierwszym ministrem. Jest to zbyt ryzykowne powierzać ster państwa osobistości znienawidzonej w świecie duchów, które mogłyby szkodzić interesom państwa.

Wymówione imię

NOWELA

Bogna Zaniecka odłożyła słuchawkę telefoniczną i zamarła przez chwilę w bezruchu.

Dzwoniły jeszcze w jej uszach słowa przyjaciela z lat dziecinnych dr. Brzezińskiego:

— „Tak, Bogno, Marek jest chory, ciężko chory!".

I chociaż w chwilę potem, dr. Brzeziński, wpadając w ton lekarza, który zorientował się, że powiedział za wiele, co do stanu zdrowia swego pacjenta, starał się wszelkimi siłami zapewnić ją, że Marek wyzdrowieje, w prawdę słów jego nie zdołała już uwierzyć.

Stała zamyślona. Przed oczyma zamajaczyła jej postać Marka.

Nie widziała go już od roku i, dziwiąc się sobie samej, nie odczuwała braku jego obecności... może to rozłączenie przyczyniło się do zatarcia wspomnień, które teraz z całą gwałtownością odżyły nagle, a może po prostu czas, dobry, współczujący czas zasklepiły te rany, które niegdyś bolały ją tak bardzo...

Uczucie jej do Marka ludzie nazwaliby zapewne miłością, a jednak, czyż to była miłość? Stosunek Bogny do Marka oparty był na bezgranicznym zaufaniu, Marek stanowił dla niej najwyższy autorytet w całym szeregu drażliwych zagadnień, z którymi jej przewrażliwiona duszyczka nie mogła sobie dać rady. Często w wewnętrznej rozterce mówiła sobie „Zapytam się Marka" — wiedząc zgóry, że postępek zakwalifikowany przez niego, jako „etyczny" będzie nim napewno i całkowicie, nie dlatego, by Marek był wzorem doskonałości, lecz jedynie z powodu faktu obdarzenia go przez naturę przedziwnym rozeznaniem wartości rzeczy w ich subtelniejszym ujęciu.

Prócz tego Bogna zdawała sobie sprawę, że na Marka liczyć może zawsze w każdej trudnej chwili życia, że nawet wówczas, gdy ona, zwykle opanowana i zamknięta w sobie, traci równowagę wewnętrzną — wyciągną się do niej natychmiast z serdeczną pomocą silne dłonie Marka....

Bogna przypomniała sobie historię Marka i Izy, historię, banalną i nieskomplikowaną, nad którą przechodzi się do porządku dziennego o ile nie dotyczy kogoś z ludzi bliskich. Odczuła wówczas głęboko, że Marek, mądry, silny Marek mógł tak lekkomyślnie związać swe życie z życiem bezdusznej laleczki, wyciętej z żurnalu mód. Jak się to stało, i czemu należało zawdzięczać, że śliczna laleczka wciągnęła Marka w misterną sieć swych małostkowych przeżyć — pozostało dla Bogny nierozwiązaną tajemnicą. Nie zdając sobie sprawy z naiwności swych zarzutów, oskarżała jedynie Izę — eliminując zręcznie Marka. Pewnego dnia, Iza zawiadomiła Marka, iż opuszcza Warszawę i wkrótce wyszła za mąż za bogatego przemysłowca z Katowic.

Po paru tygodniach, Bogna spotkała na ulicy Marka. Postarzał, oczy miał chmurne i dziwny wyraz zaciętości na twarzy. Wewnętrzna duma nie pozwoliła Bognie powiedzieć mu kilku ciepłych słów, zapewnić, że przecież Marek nie jest sam, gdy go życie gnębi...

A teraz Marek był chory, ciężko chory i leżał w szpitalu .

Bogna decydowała się szybko; niech Marek pomyśli sobie o niej, co tylko zechce, niech nawet, kiedyś, gdy wyzdrowieje, wykpi jej pensjonarski sentymentalizm: wobec faktu jego choroby przestawały istnieć wszelkie skrupuły z gatunku „wypada i niewypada", i egzaltowanej pruderii prababek. Pojedzie do niego i basta.

W pół godziny potem znalazła się w szpitalnym pokoiku.

Marek leżał na wznak, kontury jego wychudzonego ciała ostrą linią rysowały się pod prostą, szpitalną kołdrą, cienie śmierci spływały na twarz zarośniętą, o dziwnie napiętych mięśniach. Oczy miał przymknięte, nie wiedział, że tuż przy nim, z załamanymi bezradnie rękami, stoi drobna, bledziutka kobieta starająca się napróżno powstrzymać nerwowe drganie ust, niekarminowanych, dziecinnych jeszcze w wyrazie. Nie czuł nic, daleki od spraw ziemskich, od szamotań życia i jego ikarowych upadków i wzlotów, wolno, wolno, spływał na ruchomej fali dawniejszych przeżyć na granicę życia i śmierci, pogrążał się w niebyt istnienia...

Bogna wpatrywała się w postać Marka, chłonęła łakomie każdy rys jego twarzy, chciała wbić w pamięć drobne, drobniutkie, dawniej zupełnie niedostrzeżone szczegóły. Wydawało się jej, iż po raz pierwszy widzi jego lekko wysunięty podbródek, zbyt śmiały rysunek brwi, nieznacznie rozdęte nozdrza, i złotawy, jaśniejszy od reszty włosów, opadający na czoło kosmyk...

Zdarzało się wprawdzie i dawniej, że zatrzymywała oczy na jego twarzy. ale czyniła to nieśmiało, z lękiem, by Marek nie złapał w locie jej spojrzenia. Dziś sprawa ta przedstawiała się już zgoła inaczej: mogła patrzeć do woli, mogła w na wpół dziecinnej pieszczocie, objąć go za szyję i przytulić rozpalony policzek do jego wychudzonej twarzy, mogła całować przymknięte oczy, bo leżący człowiek był tylko cieniem dawnego Marka.

Gdyby miłość miała moc czynienia cudów, zatrzymywania istot kochanych na krawędzi śmierci, Bogna odeszłaby bez słowa, tak jak tu przyszła dzisiaj, niepoznana i nieodczuta, szczęśliwa tylko bez granic, iż poświęceniem swym mogła obdarzyć go najwyższym darem... ale wiedziała dobrze, iż Marka nic ocalić nie zdoła, iż rozpaczliwy oplot jej ramion nie potrafi wydrzeć go śmierci.

Delikatnie, jakby lękając się, że sprawi mu ból nieznośny, położyła rękę na jego nieruchomej dłoni. Szukała na próżno słów, któreby mogły przeniknąć do głębi jego uśpionej świadomości, zdobyła się jednak na jedno tylko słowo:

„Mareczku!..."

Marek nie drgnął, więc powtórzyła nieco głośniej:

„Mareczku!..."

Wtedy dopiero rozprężyły się mięśnie twarzy, pod dotknięciem ręki Bogny drgnęła spoczywająca na kołdrze ręka. Może usłyszał? Może do jego świadomości przedostały się płynące z oddali słowa, napęczniałe niewymówioną treścią? Może odczuł, że ona, Bogna, za wszelką cenę, nawet za cenę własnego życia i szczęścia, chce zatrzymać go nad otwierającą się przepaścią? Może w tej godzinie na tle uciekających z zawrotną szybkością wspomnień mignęła mu twarzyczka Bogny?

Osunęła się na kolana i z oczyma utkwionymi w jego twarzy śledząc pilnie, czy nie zobaczy w niej przebłysku powracającej przytomności, urywanymi słowami, poczęła mówić, iż jest jej najbliższy na świecie. Było w jej niezręcznych słowach brutalne zdarcie wszelkich osłonek ambicji, obnażenie tego, co było dotąd utajoną treścią jej jaźni, a nade wszystko zapewnienie, że cokolwiek by się stało, Marek nie będzie nigdy, nigdy samotny, że na wzór oliwnej lampki w mrocznym kościele w ogarniających go mrokach płonąć będzie zawsze świetlany płomyk jej miłości....

„Mareczku, czy słyszysz mnie, mój ty biedny, kochany, maleńki..."

Powoli, tak bardzo powoli, że wydawało się Bognie, iż trwało to całe godziny, lata, wieki może poczęły się podnosić powieki Marka, odsłaniając smutne, przepojone cierpieniem źrenice. Oczy jego utkwiły się w twarzy Bogny i wpatrywały w nią długo, uważnie. Marek starał się najwidoczniej przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widział już tę kobietę.

Nagle skurcz jakiś przebiegł twarz chorego, na spalonych gorączką ustach ukazał się cień uśmiechu, i dzieląc wyraźnie sylaby, Marek wymówił:

„I - za, I - za".

Bogna nie drgnęła nawet, pochyliła tylko wątłe ramiona, jakby nagle na jej barki spadł ciężar, którego udźwignąć nie miała już siły, i uczuła, że tu, w tym pokoju zaczyna się i kończy cały jej świat...

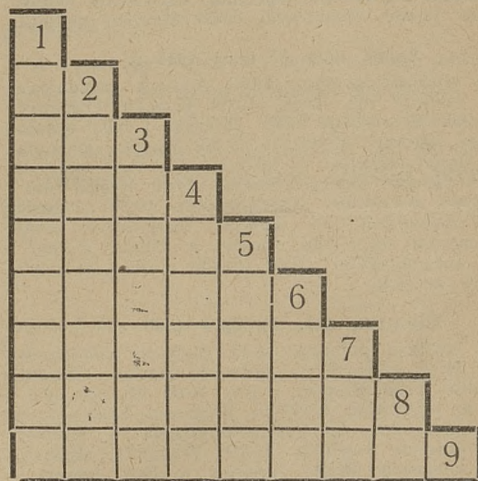
Zapadał wczesny, jesienny mrok. Szarość spływała na szpitalny pokój. Gdzieś w głębi korytarza rozległ się ostry dzwonek. Za oknami w ogródku spadały ostatnie liście, wiatr je porywał, unosił, ciskał w obłąkańczym tańcu, jak życie serca ludzkie na falę wydarzeń...

Głowa Bogny pochyliła się jeszcze niżej, ale Marek nie czuł zupełnie, że na ręce jego, jedna po drugiej ciężkie, rzęsiste, jak deszcz jesienny, padały krople łez...

Mgr. Stefania Lubieniecka.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Zadanie schodkowe



W pola rysunku wpisać 9 wyrazów, których litery końcowe (w polach oznaczonych cyframi) utworzą nazwę stolicy, państwa europejskiego, zaprzyjaźnionego z Polską.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2. Przysłówek 3. Rodzaj gwoździa 4. Nabój 5. Historyczna cytadela w Anglii 6. Owoce 7. Taniec polski 8. Nazwa konia pochodząca od jego maści 9. Ostatnia wola.

Bilety wizytowe
uł. J. G.

Heneik Korceltt

Wacio Wadaz

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 29 lipca br.

Rozwiązanie zadań z numeru 28 „Moich Powieści": Rebus: Żnin — stolica Pałuk". Bilety wizytowe: Terminator, astronom, dramaturg.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Wincenty Kawecki — Modzerowo, Zofia Kossakowska — Toruń, Benon Palarczyk — Ostrów Wlkp., Słoboda — Wejherowo, Ignacy Powelski — Poznań, Walerian Iłkowski — Puck, Jula Kotecka — Kalisz. Żarek L. — Mrocza, Z. Ruczkowska — Kruszwica, I. Jóźwiak — Warszawa.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Zofii Kossakowskiej z Torunia i Ignacemu Powelskiemu z Poznania.



Niedziela, dnia 24 lipca 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Regionalna transmisja z Krzemieńca (nabożeństwo i reportaż) 13.03 Poranek muzyczny z Wilna 13.00 „Miłość w życiu Orzeszkowej" — szkic literacki 13.15 Pani przy kierownicy — pogadanka 13.20 Muzyka obiadowa 15.00 Audycja dla wsi 16.30 „Węzeł" — słuchowisko 17.10 Recital fortepianowy Izy Ostoja 17.40 Tygodnik dźwiękowy 18.10 Podwieczorek przy mikrofonie 20.05 Koncert skrzypcowy d-moll Roberta Schumanna 21.00 „Melomani" — wesoła audycja z Katowic 21.30 Transmisja fragm. I meczu pływackiego Polska—Finlandia 22.10 „Dina" — wodewil na motywach komedio - opery.

Poniedziałek, dnia 25 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Moje wakacje — powieść Starego Doktora dla dzieci 16.00 Koncert solistów 16.45 Prowancja — kraj śpiewającego świerszcza — felieton 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Lekkie utwory organowe w wyk. Reginalda Foorta (płyty) 18.30 Audycja Legii Akademickiej 19.00 „Żołnierz w piosence" — piosenki 19.30 „Uśmiech Albionu" — koncert rozrywkowy z Łodzi 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Koncert w wyk. zespołu jugosłowiańskiego instrumentów ludowych „Tamburina" 22.00 Transmisja koncertu z Kopenhagi.

Wtorek, dnia 26 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Zagadka geograficzna dla dzieci 16.00 Koncert rozrywkowy z Katowic 16.45 Motocyklem po Polsce — opowiadanie 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Koncert kameralny z Krzemieńca 19.35 „Gulasz z papryką" — koncert 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Walce w wyk. Janiny Szymulskiej 22.00 Muzyka operowa.

Środa, dnia 27 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Audycja dla dzieci 16.00 Koncert Orkiestry Rozgłośni Wileńskiej 16.45 Dlaczego i jak wojska studiują historię — odczyt 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Ogród angielski — felieton 18.10 Arie operowe w wyk. Romanowskiego Stefana 19.00 Recital wiolonczelowy Bronisława Nagujewskiego 19.30 „Wesoły ogród zoologiczny" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Chopin a Polska Ziemia" — V audycja 22.00 „Pięć wieków dawnej muzyki" — VII audycja.

Czwartek, dnia 28 lipca 1938 r.

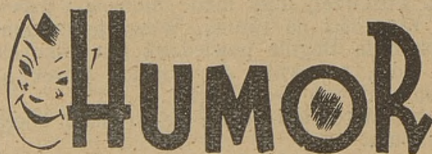
6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 „Moje wakacje" — opowieść Starego Doktora dla dzieci 15.30 Muzyka z płyt 16.00 Muzyka salonowa w wykonaniu kwartetu Rozgłośni Krakowskiej 16.45 Spółdzielnia turystyczno-letniskowa — felieton 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Wiązanka śląskich pieśni ludowych 18.30 „Trwoga w San Antonio" — premiera słuchowiska 19.10 Koncert Laureatów Konserwatorium Warszawskiego 19.40 Letnie nastroje — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Recital śpiewaczy Lucyny Szczepańskiej 22.00 Koncert wieczorny w wyk. Orkiestry Rozgł. Wileńskiej.

Piątek, dnia 29 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Pomorskim szlakiem wodnym — pogadanka 16.00 Wiązanki z operetek Lehara 17.00 Muzyka taneczna 18.00 wachlarz elektryczny — pogadanka 18.10 Koncert na instrumentach dętych 18.45 „Powieść współczesna na rozstajnych drogach" — szkic literacki 19.00 Polskie utwory fortepianowe 19.30 Podróż w nieznane — koncert rozrywkowy 20.55 Audycja dla wsi 21.10 „Laura i Filon" — wieczór dawnych piosenek 22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela — V audycja.

Sobota, dnia 30 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Słuchowisko dla dzieci: „Dolina czarnego potoku" 16.00 Koncert orkiestry Pułku Strzelców Podhalańskich 16.45 Jak nie należy podróżować — felieton 17.00 Polska kapela ludowa F. Dzierżanowskiego 18.10 Recital śpiewaczy Rudolfa Joksa 18.45 „Mazowsze w poezji" — kwadrans poetycki 19.00 Recital skrzypcowy Wacława Kochańskiego 19.30 Muzyka taneczna 20.00 Audycja dla Polaków za granicą 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Na polską nutę — Audycja muzyczna 22.00 „Godzina niespodzianek."



ZNAWCA MUZYKI

— Czy rozumiesz się na muzyce?
— Owszem, nawet dobrze.
— Co gra teraz ten artysta?
— Na skrzypcach, kochany.

NARESZCIE

— Otrzymaliśmy wiadomość, że nasz wujaszek w Ameryce umarł w zeszłym tygodniu.

— Więc nareszcie macie jakiś znak życia od niego?

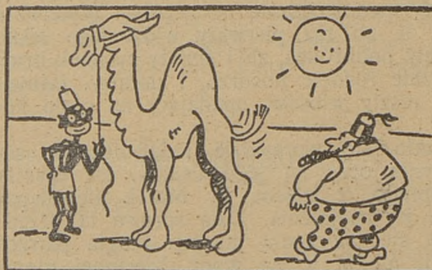
TRZEBA DŁUGO CZEKAĆ

— Dlaczego pańska siostra nie ma pieniędzy? Przecież przypadła jej w udziale duża część spadku po rodzicach.

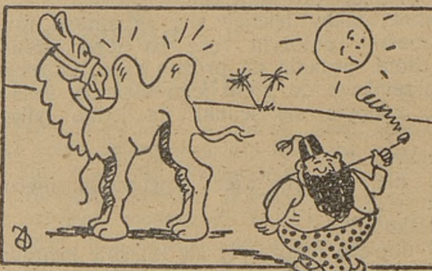
— To prawda, ale spadek miała otrzymać dopiero z chwilą dojścia do lat trzydziestu, a ona nie może się na to jakoś zdecydować.

W ZWIERZYŃCU

Ona: — Podobają ci się te małpy?
On: — Ogromnie!
Ona: — A ja ci się podobam?
On: — Jeszcze więcej.







Z wydarzeń na pustyni...

NAJLEPSZA MATKA

Staś ma bardzo surowego ojca. Pewnego dnia mówi do matki:

— Mamusiu, wdowa to taka pani, która nie ma męża, prawda?

— Tak Stasiu, a dlaczego się pytasz?

— Bo tak sobie myślę, że lepiej było by, gdyby bocian przyniósł mnie do wdowy.

IDEALNY SEKRETARZ

— Słyszałem, że pan poszukuje sekretarza.

— Owszem, ale było zaznaczone w ogłoszeniu, aby zgłaszać się na piśmie, nie osobiście.

— Wiem, proszę pana, ale nie mogłem napisać, bo jestem niepiśmienny.

WIERZYCIEL I DŁUŻNIK

— Cóż pan myślisz, że ja dla tych marnych 20 złotych będę sto razy na 5 piętro wchodził.

— A cóż pan chce, żebym ja dla tych marnych 20 złotych kupił mieszkanie na parterze?

NIEDALEKO PADA JABŁKO OD JABŁONI

Właściciel sadu spostrzegł na gruszy chłopaka, który raczył się jego gruszkami.

— Złaź mi zaraz z tej gruszy — woła wściekły — jak ty się nazywasz? Gdzie jest twój ojciec? Muszę mu powiedzieć, jakiego drabą ma syna. Gdzie jest twój ojciec?

— Tu, w sadzie, siedzi na tamtej jabłoni!

WESTCHNIENIE

Poważny jegomość, około czterdziestki, oglądając w zwierzyńcu poznańskim, żubra-cielaka, rzekł do niego z westchnieniem.

— Oj, ciołuś... ciołuś... żebyś się ożenił, to byś na pewno tak nie brykał.

ZNA SIĘ NA INTERESACH

— Pan prosi o rękę mojej córki. Wiedz pan, że nie oddam córki człowiekowi, który nie zna się na interesach.

— Gdybym się nie znał na interesach, to bym nie prosił o rękę pańskiej córki.

Z PEWNOŚCIĄ

Ksiądz: Janku, powiedz mi, co było po potopie?

Janek: Błoto, proszę księdza.

SIŁA PRZYZWYCZAJENIA

— Agiten cześć — Mojsze, gdzie byłeś?

— W kąpieli. Ja Lejo mam już takie dziwne przyzwyczajenie, że czy trzeba, czy nie trzeba, to muszę się raz na rok wykąpać!

WSPÓLNE TROSKI

Młoda małżonka widzi, że mąż jej od paru dni jest smutny, coś go wyraźnie gnębi. Zwraca się więc do niego.

— Kochany, co ci jest?

Małżonek wyraźnie wymiguje się od odpowiedzi. Żona jednak uporczywie nastaje.

— Powiedz mi, co cię martwi? Twoje troski i zmartwienia nie należą jedynie i wyłącznie już do ciebie — lecz do nas wspólnie.

Małżonek po chwili zastanowienia:

— Może i masz rację. Otóż wyobraź sobie: dostaliśmy list z Kołomyji od pewnej dziewczyny, która skarży nas o alimenty.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.